ŚWIAT

Nr. 3 16. I. 1937
CENA 1 ZŁ.



Gary Cooper ze swym ulubionym psem, spędza chwile wolne od zajęć w swej rezydencji wiejskiej, urządzonej z wielką prostotą.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII. Nr. 2 16. I. 1937

L. CHRZANOWSKI.

JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ...

Był sobie Mazur z „Halki".

Częstowaliśmy nim na wszelkich reprezentacyjnych przedstawieniach korpus dyplomatyczny i dostojników wszelkich wymiarów.

Teraz jest tylko Mazur.

Poprostu Eljasz Mazur.

Nie można uważać go za reprezentanta Mazowsza.

Ale ma zato wiele miljonów, choć nie cierpiał za miljony.

To raczej odwrotnie.

Miljony cierpiały lichwiarskie ceny i zarobki dla Eljasza.

Dla Eljasza Mazura.

Ten Mazur, mógłby być ze... Strasznego Dworu, gdyby nie to, że zainteresował się nim... Korpus Kryminalny.

Eljasz Mazur łuskał, łuskał, aż się dołuskał. Z nim razem pięciu innych eljaszy. Bo Mazurów było aż ośmiu!

Cały Kadryl Mazurów!

Pięciu już pociągnięto. Pociągnięto do obrachunku. Władze skarbowe i inne dobrały się wreszcie do skromnych zarobków budowniczych szklannych domów.

Bo ten Mazur miał humor! Domki i apartamenty pragnął mieć przezroczyste, szklane — przejrzystości w rachunkach zato unikał. Okazuje się, że łatwiej jest z nieprzezroczystych rachunków mieć szklane apartamenty niż odwrotnie, z przezroczystych rachunków mieć choćby skromne apartamenty.

Nie będziemy powtarzali faktów znanych z prasy codziennej. Nie będziemy przypominali, że za ryż, który w Gdyni kosztuje 26—27 groszy, w Warszawie w hurcie brano po 72 grosze. Nie będziemy przypominali, że łuszczarnia ryżu dała nieprawdopodobne przywileje naszym mazurzystom. Nie będziemy przypominali, że powstała ona wogóle wbrew opinji i sprzeciwom ministerstwa rolnictwa. Nie będziemy wyliczali tych nadużyć, które już wykryto i które prasa codzienna ujawniła.

Musimy natomiast stwierdzić: miljonowe dochody Mazurów powstały z monopolowego przywileju i *braku kontroli*.

Jeśli z wyłuskiwania ryżu *czerpano, aż takie dochody,* to dlaczego (w etatystycznym nastawieniu naszych kierowniczych umysłów przemysłowo-skarbowych), *dlaczego tego właśnie monopolu nie zachowano dla państwa?!*

I dlaczego *taki* właśnie złoty interes oddano Eljaszowi Mazurowi?!

Dlaczego to *Mazurom właśnie* umowa z roku 1927-go oddała dzierżawę placów w Gdyni, wraz z częścią nadbrzeża portowego na lat 35, to jest aż do roku 1962!

Dlaczego to firmie, która już raz była ukarana grzywną *4½ miljona złotych* za nadużycia skarbowe *nie cofnięto koncesji—przywileju?!*

Zniżono im natomiast karę z 11 miljonów na owe cztery i pół! W tych punktach są najbardziej niepokojące momenty tej afery. Tu zaczyna się brak kontroli.

Bo skoro egzystuje firma (Elma), którą demaskuje się i okłada, aż tak olbrzymią karą za nadużycia skarbowe, to obowiązkiem kontroli było odnaleźć ten stan rzeczy, jaki ujawniono dziś, a który istniał od lat i przywilej krzywdzący społeczeństwo i okradający skarb — *cofnąć.* Fakt wykrywania nadużyć jest pocieszający. Ale fakt nie skontrolowania recydywisty, aż do dna jego przywilejów, nie jest atutem tryumfalnym dla kontroli.

Dlatego to definicja jednego z pism codziennych, że: „satysfakcję obrażonemu poczuciu moralności publicznej daje fakt, że *jednak (podkreślenie nasze)* nadużycia zostały wykryte", w danym wypadku nie jest wystarczająca. Wykrycie tej afery zasługuje na podanie do publicznej wiadomości *kto* i *jaki urząd* wykryły ją. Tak jak zasługuje na ujawnienie *kto i dlaczego* w momencie pierwszego przestępstwa zniżył grzywnę 11 miljonów na 4½.

W Aferze Mazurów są dwa momenty: przestępczy, kryminalny — to sprawa nadużyć!

Społeczny, państwowy — to niebywały przywilej łuszczarni ryżu i *nadanie tego przywileju Mazurom!*

Wyjaśnienie obu momentów w interesie państwa jest niezbędne i konieczne.

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"





Z niedawnych zamieszek w Chinach. Marszałkowie Czang Sue Liang i Czang Kai Czek obserwują manewry lotnicze bezpośrednio przed uwięzieniem dyktatora Chin.

Patrole rządu nankińskiego w przemarszu przez ulice stolicy.

Krypta grobowa, Bazylego Zacharowa, największego współczesnego handlarza broni.



POŁÓW PEREŁ

Czy wolno dzieci uczyć kłamstw?

Nie wolno.

Czy czytanka szkolna może zawierać bzdury?

Nie powina — ale niestety może. I zdarza się to dość często.

Jak pisze W. Studnicki w „Słowie", czytanka na oddział V szkoły powszechnej zawiera między innemi rozdział o handlu z Sowietami. Jakiś tatuś objaśnia tam swemu synkowi, jakie to szczęście dla Polski, że jest sąsiadką Sowietów — bo dzięki temu tanio stamtąd sprowadzamy rudę żelazną, nasze fabryki na Górnym Śląsku przerabiają ją na części maszyn dla Sowietów, bo *„Sowietom wygodniej oddawać to do roboty na Górnym Śląsku, niż u siebie w Turkiestanie, albo gdzieś na Syberji, choćby dlatego, że do nas bliżej".*

„Przerabiamy w swych hutach na Górnym Śląsku (rudę sowiecką) na wagony, parowozy, traktory i inne aparaty i maszyny, których Rosja potrzebuje gwałtownie. Przerabiamy jej surowiec na wysoko uszlachetniony produkt przemysłowy, który Rosja nabywa od nas chętnie". Tak mówi tatuś w czytance.

Hm... Wcale nie przypuszczaliśmy, żeby tak ożywiona była nasza wymiana gospodarcza z Rosją... Ogromnie nas te rewelacje zaskoczyły. Ale Studnicki rozprasza szybko nasze wątpliwości.

Okazuje się, że w owej czytance — przeważają brednie.

„Wymiana" nasza z Sowietami jest *minimalna.* Turkiestan nie posiada wogóle produkcji rud żelaznych. Górny Śląsk nie wyrabia traktorów, więc oczywiście nie może też eksportować do Sowietów.

Autor tych bzdur powinien być skazany na wyjazd do swych sławionych Sowietów — (ale bez polskiego stypendjum). Niech się tam zaznajomi z rzeczywistością, zanim powtórnie będzie wypisywał banialuki. Ale oprócz autora istnieje przecież jakaś „Komisja kwalifikująca" dla podręczników szkolnych. Czemu to jej tak gorąco leży na sercu sławienie *nieistniejących,* idyllicznych, a dla Polski jakoby tak bardzo korzystnych stosunków gospodarczych z Sowietami?



Ogłupiać dzieci polskie za podatkowe pieniądze — i to ogłupiać tendencyjnie—zaiste, szczyt to zręczności...

Prawda bez osłonek

Kiedy narzekam, że polacy są brudni, spotykam się z wymówkami, że zbyt ponuro patrzę na naszą rzeczywistość.

No to spojrzymy na nią razem. Oczami tzeźwemi. Otwartemi.

Otwartemi szeroko — z przerażenia.

„Przegląd Ubezpieczeń Społecznych" zamieszcza sprawozdanie jednego z lekarzy krakowskich z jego pracy, jako lekarza domowego ubezpieczalni. Lekarz ten zbadał sumiennie stosunek swych pacjentów do.. sprawy kąpieli. I podał wyniki swych badań. Oto one.

Blisko 30 % pacjentów *nie kąpie się nigdy.* No tak, zwyczajnie: *wogóle nigdy.*

Prawie 27% kąpie się... raz na miesiąc.

Prawie 12% kąpie się raz na 2 tygodnie.

Ogółem — prawie trzy czwarte pacjentów żyje zatem w brudzie. I to nie na zapadłej wsi. W dużem mieście, słynnem ze skarbów sztuki i kultury.

Jak bywa na wsi?

Statystyka byłaby bardzo uproszczona. Odpowiedź brzmiałaby według wszelkiego prawdopodobieństwa: nie kąpie się nigdy — 100% ludności.

Teraz proszę mi już nie wmawiać, że „czarno patrzę".

Senne marzenia

„Osuszono już zgórą 3 tysiące akrów bagnistych gruntów. Przekopano kanały łącznej długości około 200 kilometrów. Na osuszonych terenach przeprowadzono drogi i założono wzorową farmę dla zademonstrowania nowym osadnikom najlepszego sposobu zużytkowania żyznej obecnie ziemi. Część gruntów już nabyli nowi koloniści, zakładając farmy, które przynoszą znaczne korzyści".

Ach, jak miło nareszcie coś pomyślnego przeczytać! To na Polesiu, prawda?

Niezupełnie. To się dzieje — w Szwecji...

Bezsensowny eksport

W polskich lasach — jak we wszelkich lasach — istnieją mrowiska. W nich, ma się rozumieć, żyją mrówki. Niektóre ich gatunki są niezmiernie pożyteczne. Jak czytamy w dodatku rolniczo - hodowlanym I. K. C., najpożyteczniejsza jest mrówka ruda, mieszkanka lasów iglastych, która jest dla drzew opiekunem, lekarzem i obrońcą przed szkodnikami. Mianowicie zażarcie tępi ona szkodliwe owady. Jedno mrowisko zjada do stu tysięcy szkodliwych owadów dziennie.

W Niemczech w czasie strasznej klęski sówki chojnówki, która zniszczyła olbrzymie przestrzenie leśne — ocalały jedynie te drzewa, które były w pobliżu mrowisk... Od tego czasu w Niemczech otoczono ten gatunek mrówek specjalną opieką, niszczenie mrowisk jest karane wysokiemi grzywnami, a nawet sztucznie dopomaga się mrówkom do zakładania nowych mrowisk przez przenoszenie kopca na nowe tereny.

To — gdzieindziej.

A u nas — jak pisze tenże I. K. C. — w roku ubiegłym za pośrednictwem jednej z naszych Izb Przemysłowo - Handlowych *wysłano do Francji kilka wagonów larw mrówczanych...* na pokarm dla ptaków i na przynętę dla ryb.

Do eksportu rzeczywiście nie mamy jakoś szczęścia...

Nieznani

Donosiliśmy niedawno o tem, że Heine skreślony został „administracyjnie" w Niemczech z listy poetów. Obecnie uzupełniono ten doniosły akt kulturalny zamieszczeniem jednego z jego wierszy „Lorelei" w podręcznikach szkolnych.

— Ach, więc przecież zmądrzeli.. szepnął ucieszony czytelnik.

Narazie nie, proszę czytelnika. Bo pod wierszem umieszczony jest dopisek: *Autor nieznany*.

Obecnie przybył im jeszcze jeden nowy „nieznany" — Ossietzky, któremu przyznano niedawno nagrodę pokojową Nobla. Nadeszły na jego imię setki depesz i listów gratulacyjnych z całego świata. Jak się dowiadujemy poczta systematycznie zwraca owe przesyłki nadawcom, z adnotacją: „Przeprowadził się. *Nieznany*.

Czemu nie? To też jest system. Na upartego można naprzykład przez całe życie parasolem zasłaniać komuś słońce i wmawiać, że ono wcale nie istnieje.

Motoryzacja

Jeszcze! I aż do obrzydzenia! Bo ten wrzód traktuje się u nas dotąd jak wstydliwą „chorobę sekretną", zamiast wrzeszczeć w nieboglosy dniem i nocą, że tak dłużej być nie może i że motoryzacja na poziomie Albanji musi nas doprowadzić do zguby.

Więc — znów porównania...

W Ameryce śliczny samochód kupuje sobie drobny urzędnik za cenę swych trzymiesięcznych poborów. I u nas „motoryzacja" ruszyłaby odrazu galopem, gdyby można było nabyć nowy, doskonały samochód w takim samym stosunku do zarobków. Powinien więc kosztować — najwyżej 900 złotych. Wtedyby szły te maszynki, jak bułki w piekarni. Ale dziś?

I jeszcze jedna drobnostka. W proporcji do naszych norm zarobkowych litr benzyny kosztuje w Stanach Zjednoczonych — 2 grosze. Słowami wyraźnie: groszy *dwa*.

Co z tym zrobić?

Nie przeceniam bynajmniej znaczenia umiejętności czytania i pisania. Znam polskich chłopow starego pokolenia, którzy całe życie podpisywali się trzema krzyżami, a którym mądrości mógłby pozazdrościć niejeden miejski inteligent. I znam chłopów młodych, wychowanków polskiej szkoły powszechnej, którzy wprawdzie podpisać się umieją, co nie znaczy, żeby im od tego przybył chociażby łut rozumu. Więc nie przeceniam...

Ale jeżeli już tę „oświatę powszechną" wprowadziliśmy, to zapewne dlatego, że jednak narody cywilizowane właśnie za pomocą pisma i druku porozumiewają się między sobą. I że niby — jak się to mówi „droga do wiedzy", no i tak dalej.

Szkoły powszechne więc są. I kosztują nas dużo, pomimo, że jest ich zamało. Myślimy, że skoro cały naród ten wysiłek czyni i koszty tej nauki pokrywa — powinnaby owa nauka być przecież jakoś szanowana. Przez tych właśnie, którzy tę wiedzę posiedli. Których państwo wyprowadziło z „mroków ciemności".

Gdybyż tak...

Okazuje się, jak pisze „Czas", że na zjeździe delegatów rad szkolnych burmistrz dużego prowincjonalnego miasta przytoczył fakt przerażający. Oto na komisji poborowej w roku ubiegłym było blisko 27% analfabetów *posiadających świadectwa z ukończenia szkoły powszechnej*.

Nie na kresach. W Kutnie, w sercu Kujaw, najbogatszej części dawnego „Królestwa".

Na co nas stać?

Nie stać nas na porządne szosy, na dostateczną ilość szpitali, na szkoły dla dzieci, na elektryfikację kraju, na domy dla bezdomnych, na tysiące innych niezbędnych rzeczy. Ale nas stać — na głupawe szastanie groszem.

Jak podaje częstochowska „Gazeta Narodowa", polacy przegrali w sezonie ubiegłym w Kasynie w Sopotach — okrągłą sumkę 5 *miljonów złotych*.

A założyćby już lepiej tym domorosłym miłośnikom hazardu szulernię w kraju, no chociażby państwową! Zysk szedłby przynajmniej tam gdzie trzeba.

A przy wyjeździe na terytorjum sopockie — rewidować polaków *chociażby do koszuli!* I obostrzyć przepisy dewizowe, nakładając kary tak fantastyczne, żeby się lekkomyślnym idjotom odechciało topić polskie złote w czeluściach wrogiej jaskini gry.



Proszę płacić!

Walne zebranie akcjonarjuszy Zakładów Modrzejowskich w roku 1928 uchwaliło wypłacić dywidendę w wysokości 4 i pół %. Zwlekano z tem conieco — tak długo, aż wreszcie po dwuch latach, w roku 1930 Rada zarządzająca tych zakładów uchwaliła wypłacić ową dywidendę w marcu 1931. Natomiast inne władze tejże firmy najzwyczajniej podały do prasy zawiadomienie, że dywidenda za rok 1927 *wogóle nie będzie wypłacona*.

Mały akcjonarjusz jest przeważnie cierpliwy. Mały akcjonarjusz jest zwykle — niema co ukrywać, bo to i tak wszyscy wiedzą — obdzierany ze skóry.

Mały akcjonarjusz jest zwykle tylko do tego, aby akcje kupił i cicho siedział. To znaczy, aby zasilił swemi pieniędzmi przedsiębiorstwo — i nie żądał wzamian niczego Nawet tych marnych paru złotych słusznego zysku. O zysku myśli w towarzystwach akcyjnych zupełnie kto inny. Od tego są grube ryby, członkowie Rad Nadzorczych i Zarządów, którzy już zawsze bardzo mądrze obmyślą, jak ów zysk rozprowadzić... między siebie.

To wszystko jest niestety prawdą. Dlatego właśnie polski rynek akcjami „leży" od szeregu lat. Bo akcje są papierem martwym. I kto był tak naiwny, że w roku 1925 umieścił w akcjach polskich przedsiębiorstw powiedzmy 40 tysięcy złotych, ten dzisiaj poszedłszy na giełdę, dostałby za nie aż... 6 tysięcy.

Widocznie i tym małym akcjonarjuszom modrzejowskim zalecona była ta dekoracyjna rola: słuchać — i milczeć.

Aliści paru zbuntowało się. Cóż, i akcjonarjusz także jest człowiekiem. Więc nieprędko — bo dopiero w roku 1935 — trzech akcjonarjuszy Modrzejowa wystąpiło przeciwko Zakładom na drogę sądową, żądając wypłaty dywidendy za ów rok 1927.

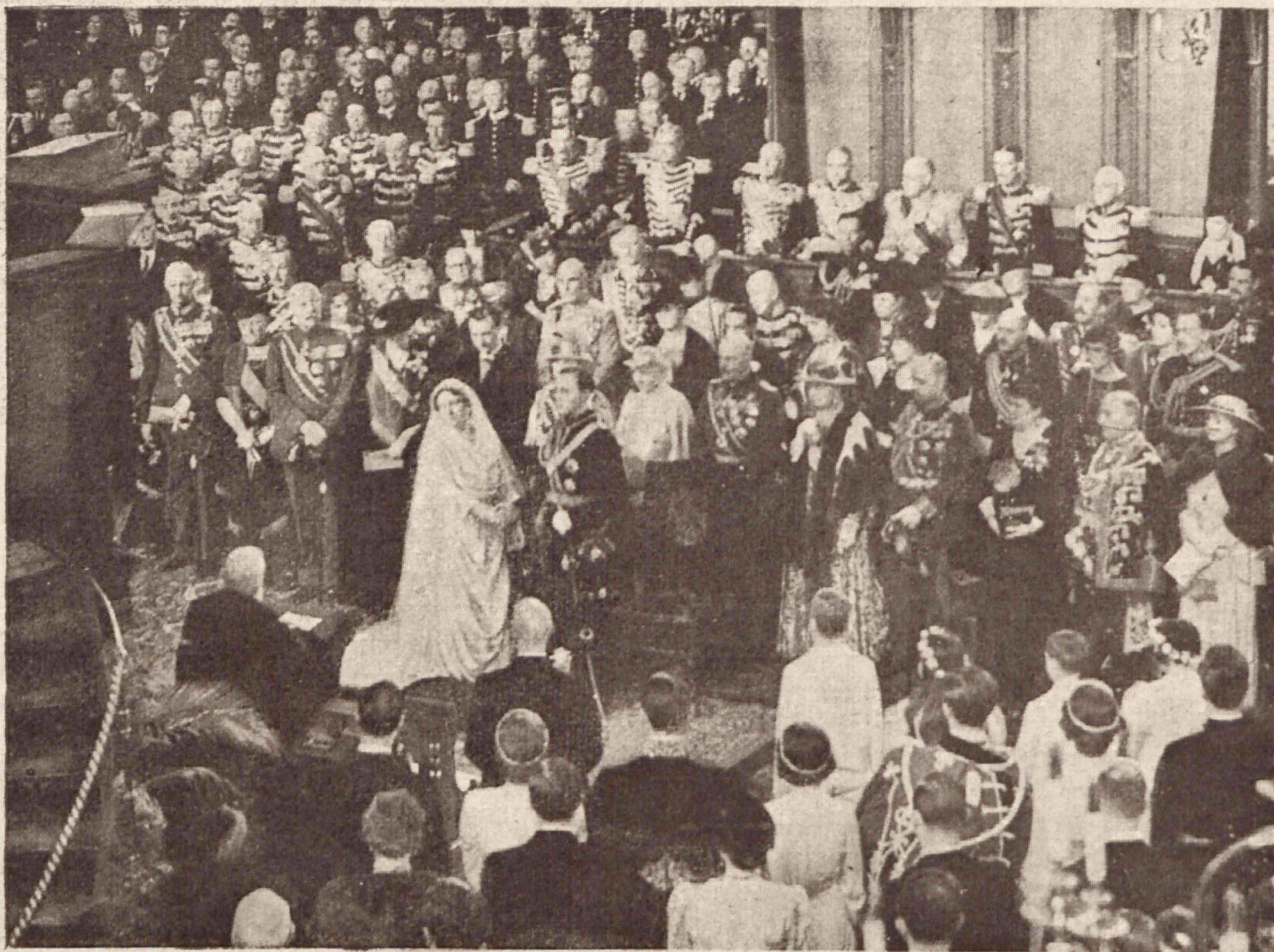
Mamy, chwała Bogu, sądy w Polsce.

Przeto ci trzej odważni, jak *trois mousquetaires* wśród drobnego akcjonarjuszowego pospólstwa — najzwyczajniej sprawę w sądzie wygrali. A wraz z nimi — cała rzesza pozostałych, którzy już od lat przeszło ośmiu przestali nawet marzyć o jakiejś dywidendzie.

Niech żyją odważni!

Uparty nurek.

UROCZYSTOŚCI ŚLUBNE HOLENDERSKIEJ NASTĘPCZYNI TRONU KS. JULJANY



Dnia 7.I.1937 odbył się w kościele St. James w Hadze ślub księżniczki Juljany z księciem Bernardem. Na zdjęciu para nowożeńców — w głębi królowa Wilhelmina, za nią korpus dyplomatyczny



Niezliczone samochody zwoziły w ciągu całego dnia kwiaty i girlandy—dary miast i miasteczek dla Panny Młodej



Karoca królewska w przejeździe przez ulice miasta



Olbrzymi tłum, oczekiwał od świtu pojawienia się ślubnego orszaku



Zdjęcie obok:

Schody w pałacu Królewskim, w powodzi kwiatów

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

DWIE STRONY MEDALU

(Wanda Melcer — „Czarny Ląd Warszawa" — (Dom Książki Polskiej). (Hanna Mortkowicz — („W Palestynie 1936" (Tow. Wydawnicze w Warszawie).

Gdyby mnie zapytano nie o najpiękniejszą, ale o najodważniejszą książkę przeczytaną w roku 1936 — odpowiedziałabym bez wahania: „Czarny Ląd Warszawa" Wandy Melcer. Bo było istotnie aktem odwagi ze strony autorki poruszenie tematu tak ryzykownego — *un aujet épineux*, jak mówią francuzi — no poprostu najeżonego kolcami.

Żydzi nie lubią ujawniać odrębności czy osobliwości ich obyczajów. A cóż dopiero, gdy ktoś tak bezceremonjalnie odsłania całą prawdę? Bo Wanda Melcer — bynajmniej nie antysemitka, raczej przeciwnie — przystąpiła do swej pracy bez żadnych zgóry powziętych uprzedzeń. Na nic nie chciała napadać, niczego nie zamierzała bronić. Chciała tylko zobaczyć i zreferować. Czytelnik jednak, zsumowawszy swe wrażenia, wyciąga potem jakie wnioski — to rzecz inna. Te wnioski nasuwają się nieodparcie — jak zwykle, gdy rzeczywistość jest jaskrawa.

Jakaż jest owa rzeczywistość żydowska, widziana w wieku XX-ym w stolicy Polski oczami aryjki?

Krótko mówiąc — przerażająca.

Autorka prowadzi nas wszędzie, gdzie możemy spojrzeć na życie ciemnych mas żydowskich w jego najbardziej charakterystycznych przejawach. Asystujemy — bezwolni, oszołomieni, i niemal chorzy ze wstrętu — przy zdarzeniach, z których składa się egzystencja żyda ortodoksyjnego. Zaczyna się od obrzezania. Potworną tę operację, praktykowaną w sposób wręcz barbarzyński, opisuje Wanda Melcer ze spokojem lekarza, badającego ropiejącą ranę. Przy sposobności dowiadujemy się, że wskutek iście średniowiecznych metod sanitarnych wiele dzieci żydowskich ulega przytem zarażeniu syfilisem. Dowiadujemy się jeszcze, że bez tego ohydnego zabiegu żaden żyd nie otrzyma metryki w Gminie Żydowskiej, że nikt mu nie udzieli ślubu, nikt go nie dopuści na cmentarz żydowski. Przemoc ciemnoty podporządkowuje sobie młodego żyda już w chwili jego przyjścia na świat.

A dalej? Więc — szkoła. Oczywiście wyznaniowa, t. zw. cheder. Znów koszmar, któremu wierzyćby się nie chciało — jakaś na kilka lat okropna niewola, tem złośliwsza, że najzupełniej bezcelowa. Uparte ogłupianie wykuwaniem na pamięć niezrozumiałych tekstów, niemal system tortur, polegający np. na uczeniu czytania języka hebrajskiego zanim dziecko wogóle chociaż jedno słowo tego języka zrozumie! Brud, ciemnota, najdalej idąca nieodpowiedzialność „kierowników szkół", kompletna dowolność przy ich kwalifikowaniu — dają w rezultacie tragiczny obraz „nauki" małego chasyda w szkole wyznaniowej.

Kobiecie żydowskiej religja narzuciła inne znowu obrządki, od których wyłamać się nie wolno. Chociażby mykwę. Tradycyjne obmywanie (we wspólnej kąpieli z wieloma innemi kobietami)— ma przywracać kobiecie „czystość". Jaką? Napewno nie fizyczną w naszem pojęciu...

Ślub. Barwny opis całej ceremonji. Przy sposobności parę informacji o życiu rodzinnem chasydów. Wyobrażamy sobie zwykle, że jest takie patrjarchalne, bez zarzutu, idyliczne... Gdzietam! Rozwód, a jeszcze częściej porzucanie żon jest na porządku dziennym, a przepisy religijne są tak bałamutne, że, jak pisze Wanda Melcer, *„pewien komiwojażer miał dwadzieścia żon w różnych miasteczkach Polski, i nietylko nie można go było zmusić, żeby jedną z nich uznał nareszcie za legalną, ale nawet nie można mu było dowieść wielożeństwa"*. Istnieje nawet specjalny wyraz na określenie żony porzuconej — *„aguna"* — a kobiet żydowskich w tem tragicznem położeniu są tysiące.

Mężczyzna otrzymuje natychmiast rozwód na każde swe żądanie. Kobieta — nie ma prawa wogóle żądać wolności. Preteksty do rozwodu dla mężczyzny? Najśmieszniejsze. Z gotującego się mleka, które wykipiało, parę kropel prysnęło do rosołu, który gotował się obok. Kobieta dała ten rosół mężowi — tymczasem to było poważne wykroczenie... natury religijnej. Wystarczyło aż nadto do rozwodu.

I znów inna dziedzina — „business". Szereg odkryć. Czy my, niemądre goje, mamy o tem pojęcie, co to jest „chazuka"? A to jest prawo — zapewne niepisane — które ustala, że danemu gojowi — rolnikowi „przydziela się" do handlowania takiego właśnie a nie innego żydka. I żaden inny nic od ciebie nie kupi — bo tamten Mordka ma na ciebie „chazukę". Żyjemy sobie tak oto niby razem, niby w harmonji (względnej) — i nagle dowiadujemy się, że każdy polski rolnik jest właściwie troszkę w niewoli u pewnego określonego żydowskiego handlarza. (Hm... Pęd chłopów do handlu można chyba w tych warunkach zrozumieć?).

Inna sprawa, poruszona przez autorkę — to zagadnienie uboju rytualnego. Poświęceniem nazwać można bez przesady tę straszliwą wizytę w warszawskiej rzeźni. Trudno czytelnikowi przebrnąć przez koszmarne strony, opisujące to piekło — ale o ileż trudniej było tej kobiecie asystować przy tem — i nie uciec?

Ostatni rozdział nazwała autorka „Modlitwa i umieranie". I znów mnóstwo dziwacznych odrębności, zabobonów i okrutny, nawet po śmierci nie dający człowiekowi spokoju, pogrzeb. Cykl jest zamknięty. Pokazano nam życie chasyda od kołyski aż do grobu. Opisano je ze wstrząsającym realizmem, z wielkim talentem obserwacyjnym, z ogromnym nakładem pracy, z godnym podziwu samozaparciem. Wycieczki do tych wszystkich brudnych i cuchnących miejsc nie musiały należeć do przeżyć przyjemnych...

W rezultacie — powstała książka - dokument, tem większego znaczenia, że temat potraktowany został niezwykle objektywnie. Nikt z pośród nas, polaków, nie miał przecież wyobrażenia o tem mrocznem życiu ortodoksyjnych żydów, którzy stanowią większość żydowskiej ludności w Polsce.

■

Jak słusznie podkreśla Wanda Melcer, żydów w Polsce podzielić można zgrubsza na trzy kategorje: najliczniejsza — to ciemna masa żydów ortodoksów, (jej właśnie poświęciła autorka swe

badania). Druga — najmniej liczna, to t. zw. dawniej asymilatorzy, którzy — jak pisze autorka — *„cały trud swojego pracowitego i naprawdę pięknego życia złożyli, jak na kartę, na współpracę żydów z polakami w zakresie naszego narodowego państwa. Niestety — przegrali, i przegrali podwójnie, będąc celem pocisków ze strony ortodoksów, albo też i ze strony narodu, z którym chcieli się godzić“*. Trzecia kategorja — to ludzie obojętni dla spraw państwowych, komunistyczna młodzież robotnicza i międzynardowe „sfery wyższe“, finansjera, artyści, etc.

Gros zatem masy żydowskiej, trwającej przy swych obyczajach i wierzeniach — to chasydzi. Ci ludzie nigdy się do polskości oczywiście poczuwać nie będą — są od niej odgrodzeni skutecznie tysiącami swych formułek religijnych, przesądów, zabobonów, niezrozumiałym dla nas językiem, odmienną wreszcie psychiką. Nie znamy ich — i nie poznamy nigdy. A jest ich — tych nieznanych — parę miljonów. Coraz częściej pada pytanie: co z nimi zrobić? Coraz wyraźniej tę sprawę wpisują w swoje programy wszystkie organizacje polityczne.

I oto — zadawałoby się — rozwiązanie teoretycznie istnieje. Na imię mu Palestyna.

■

Tej właśnie Palestynie inna pisarka, Hanna Mortkowicz, poświęca swoją ostatnią książkę, która jest reportażem z podróży do „Erec“. Właściwie słowo „reportaż“ nie będzie tu na miejscu. Bo wprawdzie autorka mówi o tem, co w Palestynie widziała, ale ujęcie tematu odbiega od tego, cośmy zwykli nazywać reportażem. Może poprostu zamało tu jest drobnych, żywych spostrzeżeń i djalogów — zato o wiele więcej rozważań, zastanowień, erudycji i wniosków.

Większa część tej ciekawej książki poświęcona jest opisowi nowego życia żydów w ich nowej — a jakże dawnej — ojczyźnie. Autorka stwierdza, że ci przybysze z różnych stron świata, różni językiem, przyzwyczajeniami, kulturą, a związani jedynie poczuciem przynależności do swej rasy — tu stapiają się w nierozerwalną całość, stają się naprawdę narodem. Więcej nawet — powstaje wśród nich natychmiast ostry, bojujący nacjonalizm, który chętnie i silnie zaznacza swoją odrębność. Ten nacjonalizm *„nie mając jeszcze granic politycznych, zastawia się od reszty świata barykadą swego biblijnego języka, trudnym alfabetem nieczytelnym dla Europy, ostentacją oficjalnej wiary mojżeszowej, nawet nazwą ziemi, niepodobną do miana, którem nazywa Palestynę anglik czy arab“*.

Ten nacjonalizm przybiera zwykłą formę wszystkich nacjonalizmów: pcha on żydów palestyńskich do bojkotu towarów zagranicznych i jako hasło wystawia znane nam tak dobrze: *„Swój do swego“*. O, ironjo!

Ze zderzenia nacjonalizmu żydowskiego z niemniej silnym, dzikim nacjonalizmem arabów, musiały buchnąć te złowrogie iskry, które zapaliły pożogę nad całą Palestyną. Hanna Mortkowicz widziała płonące domostwa i sady — ale nigdy żaden z poszkodowanych nie wydał się jej zniechęcony, żaden nie okazał zamiaru opuszczenia tej ziemi niegościnnej. Pionierzy, entuzjaści, ludzie idei—pracują w warunkach trudnych, często w dziedzinie zupełnie sobie obcej. Inteligenci z wyższem wykształceniem idą do pracy na roli, z zachwytem wracają do przyrody, którą zdążyły zapomnieć pokolenia, zamknięte w ghettach wszystkich krajów. Ci ludzie, jak twierdzi autorka, nie myślą o żadnych osobistych korzyściach. W wielu wypadkach zrzeszają się w kolektywy, mają wspólną własność i dla niej wspólnie pracują.

Żyd-geszefciarz, którego typ znamy tak dobrze w polskich miastach i miasteczkach — tutaj zanika. Opornej, niełaskawej przyrodzie wyrywa się po kawałku, z najwyższym wysiłkiem, strzępy ziemi. Gdzie przed kilku laty były malaryczne bagna — dziś kwitną sady pomarańczowe. Gdzie kamienista pustynia zdawała się niemożliwa do ujarzmienia — dziś szumią łany zboża. Ten wysiłek uszlachetnił przybyszów. Zmienił od podstaw ich psychikę, ich ujęcie spraw życia.

Dziś właściwie dwa cele stoją im nieustannie przed oczami: ta ziemia właśnie, coraz szersze nią władanie, coraz doskonalsze jej opanowanie. I — młode pokolenie. Następcy. Dzieci są w Palestynie istotami najszczęśliwszemi. Poświęca im się starania i wysiłki, jak w żadnym innym kraju — bo widzi się w nich przyszłość.

Jak pisze Hanna Mortkowicz— *„to przygotowywanie nowonarodzonych żydów do ich celowej i sprawnej egzystencji na terenach Erec Israel robi wrażenie jakiejś kosztownej, pieczołowitej hodowli nowego gatunku człowieka“*.

Otóż to: przedewszystkiem *kosztownej*. Czytając książkę Hanny Mortkowicz patrzymy na tę świeżutką, prosto z igły, rzeczywistość żydowską, podziwiamy jej nowoczesność, jej świeży lakier, jej lustrzane szyby i jej traktory, jej kafelkowe łazienki i pełne kwiatów żłobki dziecięce. I myślimy tylko przyziemnie: jeżeli jest tak, jak twierdzi autorka, że ci nowi żydzi nie pracują dla zysku, ale dla idei — to kto opłaca te wszystkie „luksusy“, niedostępne innym krajom?

Autorka i na to pytanie stara się odpowiedzieć. Poprostu — płyną na cele nowej Palestyny miljony od wszystkich żydów z całej kuli ziemskiej. Jest za co stawiać wspaniałe szpitale, sale zebrań robotniczych, jasne domy, otoczone ogrodami... I tu nasuwa się jednocześnie czytelnikowi i autorce ta sama gorzka uwaga: że *„w krajach, skąd idą fundusze na te nowoczesne, kosztowne urządzenia i inwestycje, po dawnemu tłoczy się życie ludzkie w ciemnych jamach chederów, wegetuje w brudzie cuchnących sklepików i warsztatów“*.

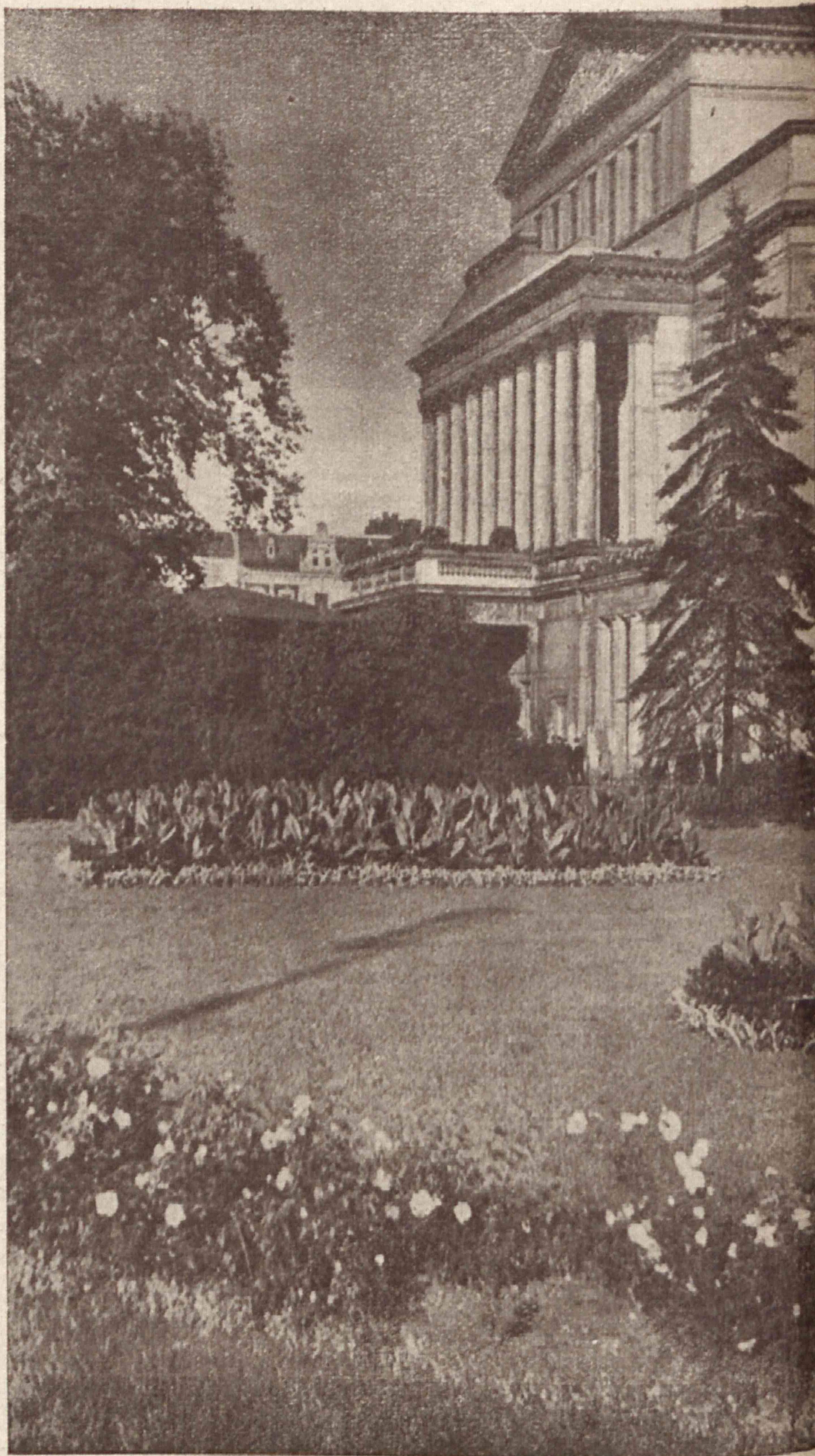
Wniosek?

Wydaje się niestety, że realne możliwości Palestyny, jako skupiska żydów z całego świata, są dość ograniczone. *„Świat palestyński nie umiałby pomieścić w swych ramach miljonów zachowawczych, niekulturalnych przybyszy. Z twórczych soków, z najlepszych elementów, z pieniężnych danin światowego żydostwa wyrasta Erec Israel jak piękny, efektowny kwiat. Ale schorzałe, ropiejące ciało, które go karmi, męczy się i wegetuje w oddali“*.

Jak ropieje i jak wegetuje — poznaliśmy to z reportaży Wandy Melcer. Kto się łudził, że wyjściem z tej ciemni będzie magiczne słowo Palestyna — ten po przeczytaniu pięknej książki Hanny Mortkowicz ochłonie.

Palestyna — ojczyzna żydów, wymarzona kraina sjonistów — nie jest właściwie ziemią, która każdego żyda przygarnie miłośnie. Starzy, brudni, półdzicy średniowieczni chałaciarze niech sobie wymierają w swych dotychczasowych ojczyznach—zda się mówić ten kraj ultranowoczesny, zwrócony twarzą ku przyszłości.

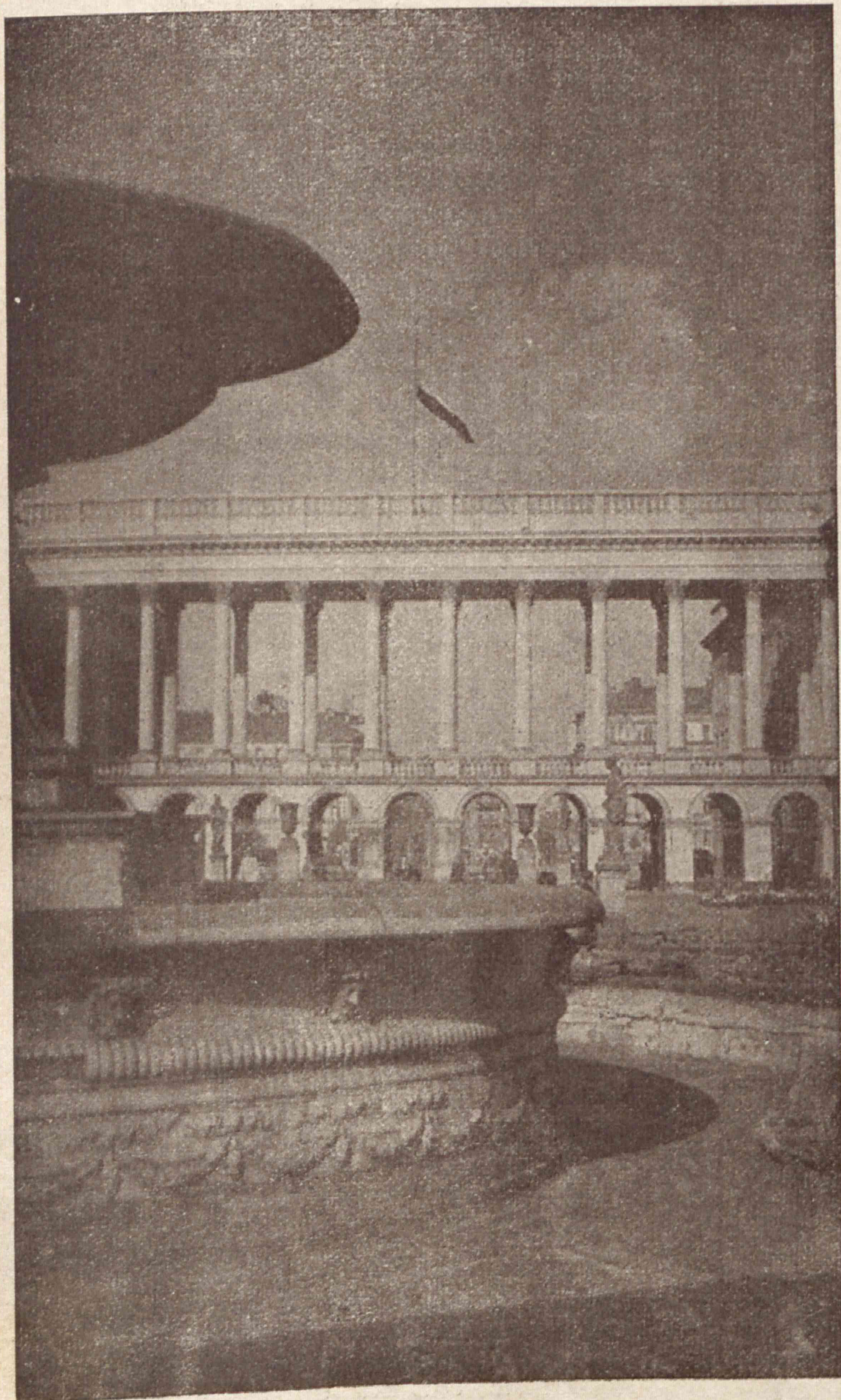
PIĘKNO WARSZAWY



Zdjęcie powyżej:

Teatr Wielki

fot. dr. T. Przypkowski



Zdjęcie obok:

Fontanna przed kolumną w ogrodzie Saskim

fot. dr. T. Przypkowski

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Nareszcie Willy się uśmiechnął.

— Widzisz, jakie to proste — kończy instrukcję Zim.

— Czyś ty nie praktykował u detektywów?

Gdy wróciła od Willy'ego, było już dość późno. Poszła do swego pokoju. Długo wpatrywała się w fotogramy matki i ojca. Wyjęła z biurka wszystkie listy od matki. Ostatnie trzy szczególnie pilnie studjowała. Nienawiść do Konspirina za to, co jej zrobił, zabiła w niej przygnębienie spowodowane wiadomością o śmierci „mamieńki". I znów wróciła do portretu matki.

— Zdradziła męża. Czy to było źle? Ojciec był stary. Pragnęła widać bardzo mieć dziecko. Gdyby nie to, ona, Nina, nie istniałaby na świecie. Co za dziwne jest życie!

Ta analiza czynu matki zacierała ostrość wrażenia jej śmierci.

Nina płakała. Nie z bólu własnego. Więcej z żałości nad bólem matki, która umierała samotnie, zdaleka od jedynej. Więcej jeszcze może z okrucieństwa niemocy i bezradności. Co robić?

Nie zmrużyła oka przez całą noc. Bała się. Co jakiś czas przyciskała guzik, puszczając światło, by przegnało mary.

Tyle się stało i tak raptem... Nie jest hrabianką Fermor, więc nie jest żadną kuzynką Zima. Za to jets siostrą Willy'ego. Powinna się nazywać Van Cornelius. Nie jest wcale czystą Rosjanką. Jest półholenderką.

O ile w pierwszej chwili po wyjściu od Willy'ego chciała niezwłocznie zobaczyć Konspirina, rzucić mu w twarz jego fałszerstwa, nie zważając na skutki, pałając jedynie żądzą poniżenia go, o tyle, w miarę zbliżania się do domu, a szła piechotą, opanowywał ją stopniowo paniczny lęk. Zrozumiała, że gdy mu spojrzy w oczy, on się niezwłocznie domyśli, że ona wszystko wie. Tego samego dnia wyśle ją z powrotem do Moskwy. I gdy szła po schodach do swej celki, postanowiła unikać za wszelką cenę rychłego spotkania z Konspirinem, a przynajmniej pozostawania z nim sam na sam. Nie wolno jej się zdradzić. Nawet mrugnięciem oka. Na zapytanie — jak zdrowie „mamaszy" — musi odpowiedzieć: — dobrze, dziękuję. Jeżeli się to uda, to będzie w dalszym ciągu otrzymywała listy... Dokąd? Jaki będzie koniec? Musi kiedyś wszystko się wydać. Wszystko skończyć...

Zdawało jej się, że powzięła bardzo trafną metodę. Nie dać poznać po sobie nic z tego co zaszło. Siedzieć w domu, pracować na oczach Konspirina więcej niż zwykle, bo ma nawet pewne zaległości. Udawać wesołą. Dziękować za listy od „mamieńki"...

I doskonale to grała. Dzień, dwa, trzy. Ale gdy po zajęciach wracała do swego pokoju, miotało nią jak w gorączce.

Willy... Zim...

Przyszła wizyta krawczyni. Nie rozumiała początkowo nic. Podziękowała za ofertę, sukni nie kupiła, o mało nie powiedziała — jestem w żałobie, ale nie powiedziała. Pewno więcej dla tego, że — co to może obchodzić obcą osobę, bo wcale nie pamiętała o tem, że ściany mają uszy. Bardzo była zdziwiona tą ranną wizytą. Modniarka, już wychodząc, wręczyła jej kopertę — bez słowa i szybko wyszła.

Nina czytała, czytała, i czytała — bez końca. Już umiała list na pamięć.

Willy i Zim. Nie ulega wątpliwości. Tylko oni to mogli pisać. Ale który z nich? Czy może obaj razem? W takim razie Willy musiał wszystko powiedzieć Zimowi, a Zim jemu. Są przyjaciółmi. Czy oni ją kochają? Jakto. Obydwaj? I jak? Nie są zazdrośni?...

Czyżby tylko węzeł koligacji, tak bardzo dziwnych...

Gniew ją porwał.

Willy...

Straciła go...

Ale oto ma teraz dwu przyjaciół. Czy to nie cenniejsze?

Tylko że ona pragnie miłości. Już jej wszystko jedno — Willy nie, to Zim, nie Zim — to kto inny.

Zmysły, zmysły...

Nerwy naprężone, imaginacja pracuje w jednym kierunku, ani chwili odpoczynku...

— Już nie mogę dłużej...

Uciekać stąd, uciekać...

Do Rosji niema poco wracać. W każdym razie — nie teraz. Nikogo tam już blizkiego niema. A tu — ma „przyrodniego" brata, który przywiązany jest do niej bardzo. Może odzyskać prawdziwego, naturalnego ojca. Nawet Zim, wprawdzie — jak się teraz okazało — tylko fikcyjnie skoligacony, jest jej jednak życzliwy, okazał jej wiele serca.

To pewno on pisał.

Na Konspirina już patrzeć nie będzie mogła i na całe tutejsze środowisko. Świadomość, że otoczona jest fałszerzami listów matki, kłamcami, którzy w tem jakiś cel mają, świadomość, że przy całej pozornej wolności, jest właściwie więźniem, że ją w każdej chwili poseł może odesłać do Moskwy jak bagaż, budziła w niej taki niepokój, że zaczęła rozmyślać, jak wyjść z tej matni.

Sugestja, że ona przecież jest tylko pół-rosjanką z krwi, działała teraz na nią dziwnie uporczywie. Zapewnienie Willy'ego, że zaopiekuje się nią, że da jej paszport niderlandzki, że ojciec ją uprawni formalnie — pamiętała ciągle.

Teraz, kiedy stosunek jej do Willy'ego stał się najzupełniej uregulowanym, choć tak nieoczekiwanie i tak inaczej, myśl jej zaczynała krążyć coraz częściej koło Zima.

Interesował ją.

Pragnęła poznać go bliżej.

Siedziała teraz ciągle w domu, przewertowała wszystkie swoje papiery, listy, przerzuciła książki, drobiazgi, rozmyślając, że gotowa byłaby kiedyś — tak sobie — wyjść na miasto i więcej nie wrócić.

* * *

Przyszedł telegram, wzywający do Warszawy służbowo posła Raya.

Ray był tem nieco przerażony, ale Zim wytłumaczył mu, że wezwanie jest najzupełniej naturalne wobec zbliżającego się Kongresu. Raporty nie wystarczają. Minister Spraw Zagranicznych zapragnął być poinformowanym ustnie o wielu szczegółach wobec tego, że sam przecież weźmie udział w kongresie.

Raya niepokoiło jednak jeszcze co innego. Oto za jakieś dziesięć dni miał się odbyć u Króla doroczny obiad dla szefów misji dyplomatycznych. I to miałoby go ominąć! Pierwsza okazja przepasania piersi wielką wstęgą. I Frania ma nową suknię! Frania miałaby nie być na obiedzie w Amalienborgu!

I jeszcze jedno. Jeżeli nie będzie można wrócić z Warszawy na czas, o— napewno nie, to przecież Zim jako *chargé d'affaires* pójdzie na ten obiad. I co! A jeżeli zwyczajem swoim machnie tam coś takiego w swoim stylu, jak mowa na pogrzebie Bursy, albo zacznie popularyzować swój „prąd o wysokiem napięciu", co to, djabli wiedzą co to jest. A może jeszcze zaprosi Króla na swój odczyt!

Okropność!

Poszedł więc telegram szyfrowy do Warszawy z prośbą o odłożenie terminu wyjazdu, o ile to jest możliwe, z powodu obiadu u Króla.

W kilka godzin przyszła odpowiedź: — przyjazd nieodwołalny.

Niema rady. Idzie więc do duńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych *note — verbale* o wyjeździe Raya i o pozostawieniu Zima jako *chargé d'affaires*. Następują instrukcje dla Zima, szereg ponownych wizyt z nim — u szefa protokółu, u pierwszego marszałka Dworu, u Ministra, u pierwszej Damy Dworu.

Zim bawił się kłopotami Raya i straszył go sobą.

Dygnitarze wyrażali się o Zimie, że robi na wszystkich doskonałe wrażenie powagą i tą wielką przenikliwością odważnego patrzenia, którem odznaczają się ludzie rycerscy. Wyrobiła się też opinja w wyższych sferach Kopenhagi, że Zim jest właściwym posłem swego rządu i kraju, a Ray — figurantem, że Zim sam jest chodzącą propagandą swego kraju i jego kultury, że oryginalność jego umysłu i brawura djalogu robią z niego *„un diplomate blillant"*.

Te odgłosy dochodziły do Rayów i do Dorji, irytując ich tembardziej, że wobec Duńczyków musieli udawać dumnych z Zima.

Ray wyjechał z żoną i Paulinką, bo pani Frania nie zniosłaby takiego upokorzenia, by siedzieć w domu, gdy Zim będzie na obiedzie u Króla.

Przyszła do Poselstwa karta z herbem królewskim:

„Jego Królewskiej Mości Pierwszy Marszałek Dworu ma zaszczyt prosić Polskiego Chargé d'Affaires pana Casimira Zima o łaskawe przybycie na obiad do Jego Królewskiej Mości do pałacu Amalienborg, we wtorek 9 Marca o godz. 7.30. Strój — wielki uniform z orderami. Prawy Pawilon. Powrót o godz. 9.15. W razie przeszkody karta niniejsza winna być niezwłocznie zwrócona".

Przy zaproszeniu znajdowały się jeszcze w kopercie trzy załączniki: bilet wjazdu dla szofera, plan stołu z czerwonym krzyżykiem, oznaczającym miejsce zaproszonego, wreszcie bilecik, z prośbą o podanie ramienia i zaprowadzenia do stołu pani Nörgaard, jednej z dam Dworu, a żony ministra oświecenia.

Zim był bardzo zadowolony z tego, bo pani Nörgaard, nie pierwszej już młodości, była damą w każdym calu, pochodziła z bardzo starej arystokratycznej rodziny Gildensternów, uwiecznionej przez Szkespira w Hamlecie, niezwykle solidnie wykształcona i czarująca w rozmowie.

Ray, wyjeżdżając, zamknął swój samochód w garażu a szoferowi dał urlop.

Zim nic na tem nie stracił, bo Willy dał mu swoją prywatną limuzynę, a sam pojechał samo-

chodem swego rodaka — bogacza, który miał kilka maszyn.

O godzinie siódmej minut dwadzieścia pięć Zim, w mundurze z orderami, wjeżdżał w długim sznurze pojazdów na uroczy podwórzec jedynego w świecie pałacu o czterech identycznych skrzydłach.

Gwardja królewska, w potwornych czapach, prezentowała broń. Po schodach szedł Zim szpalerem żołnierzy ubranych w mundury historyczne świetniejszej epoki kraju. Urzędnik protokółu witał przybyłych, którzy przechodzili do wielkiego salonu, gdzie „*introducteur des ambassadeurs*", umiejąc na pamięć godności i pierwszeństwa wszystkich zaproszonych, wskazywał każdemu jego miejsce w półkolu, utworzonem w oczekiwaniu na przyjście Majestatu.

Zjazd trwał przeszło pół godziny, bo dziewięćdziesiąt osób miało siąść do stołu, szefowie misji, rząd, dygnitarze, panie.

Wreszcie wszyscy zaproszeni już są. W pewnej chwili majordomus wymawia głośno jedno słowo: — Konge. Milczenie. Służba otwiera szeroko drzwi z apartamentu prywatnego królestwa. Wchodzi Minister Spraw Zagranicznych, wyprzedzając Majestat, potem szef protokółu wyprzedza Królowę.

Król zaczyna przywitania i rozmowy z ministrami, za nim to samo czyni Królowa.

Zim ma chwilę wesołych obserwacji: — widzi króla, najwyższego z mężczyzn, jakich zna, rozmawiającego w tej chwili z posłem Siamu, który jest najmniejszym z dorosłych... Królowa źle zrobiła, otaczając sobie szyję kolją z sześciu rzędów brylantów... Ta ognista „obroża" odcina jej głowę od korpusu... Dojdą do niego nie wcześniej, niż za dwadzieścia minut... Spektakl jest bardzo piękny... Sala ma przepyszne gobeliny... Mundury, barwne wstęgi, ordery, bezcenne biżuterje dam — istna feerja. Zapach najświetniejszych perfum... Przypomniały mu się dwie sceny z życia... Pierwsza, gdy dyrektor gimnazjum, jeszcze z czasów rosyjskich, skazał go na trzy godziny kozy za głośną rozmowę polską w gmachu szkolnym... Był wówczas w pierwszej klasie gimnazjalnej i czuł się czemś nieskończenie nędznem wobec potęgi moskala, który stanowczo nie miał wizji wypadków, jakie się staną za lat trzydzieści. Druga scena — z czasów wojny. Jako jeniec, pędzony jak pies przez żołdaków, głodny, uciarany w błocie, zawszony — — —

Otóż i Król. Minister Spraw Zagranicznych przedstawia Zima Królowi, który zapytuje go, czy Ray na długo wyjechał, wyraża radość, że mamy obecnie tak żywe stosunki między Kopenhagą a Gdynią, pyta o zdrowie Prezydenta. Rozmowa toczy się po francusku i już kończy, bo jeszcze pozostaje paru *chargé d'affaires* w stopniu sekretarzy.

A teraz — Królowa.

Zapytuje Zima po niemiecku jak dawno jest w Danji. Zim odpowiada również po niemiecku, ale dodaje, że włada lepiej francuskim i angielskim. Królowa przechodzi na język angielski i wyraża nadzieję, że będzie Zimowi dobrze w jej kraju, na co ten skłonił się, dziękując i odpowiada, że już jest szczęśliwy.

Teraz toczy się na lewo od Zima konwersacja Królewska z *chargé d'affaires* jednej z republik Centralnej Ameryki. Zim słyszy, że młodzieniec, widocznie wzruszony, zamiast *Majesté* mówi *Monsieur* i *Madame*. Ma ochotę dać mu kułakiem w bok.

Cercle skończony. Para królewska przechodzi do długiej galerji portretów, gdzie stół jest zastawiony. Panowie podają ramię paniom i korowód obejmuje stół. Gdy wszyscy stoją już przy swoich krzesłach, Król i Królowa siadają. Za nimi goście.

Zim ma z lewej strony żonę posła meksykańskiego, która nie mówi żadnym językiem oprócz hiszpańskiego, a którego Zim nie zna. Na szczęście meksykance dano posła Argentyny.

Zimowi zdarza się poraz pierwszy w życiu, że je na złocie. Mówi do pani Nörgaard, że dotknięcie widelca i noża do metalu jest przyjemniejsze niż do porcelany. Talerze są porysowane od sztućców, co pani Nörgaard uważa za ujemną stronę takiego nakrycia, bo naczynie porysowane nigdy się dokładnie nie wymywa.

Ale rozmowa po paru powierzchownych uwagach i plotkach staje się poważna. Półton dziewięćdziesięciu głosów i półdźwięk tyluż talerzy daje spokojny i równy szmer, pozwalający na uważne słuchanie. Uwagi nie rozprasza nic, bo piękna całość zastawy, kwiatów, mundurów, tualet, brylantów, kryształów, portretów nie wybija nic na plan pierwszy, tylko harmonijnie działa na zmysły, które przestają reagować, bo są nasycone.

Pani Nörgaard opowiada o Królu, że jest wzorem monarchów naszej epoki. Interesuje się wszystkiem, jest pacyfistą. Szkoda że konstytucja nie daje mu większej władzy, bo kraj by na tem zyskał. (D. c. n.)

H. KOROLEC - BUJAKOWSKA

W HINDUSKIM DOMU

Oni oboje są bardzo młodzi. Naturalnie są małżeństwem. Naturalnie bardzo wysokiej kasty radżów i maharadżów, kasty Ksatrja. No i bardzo bogaci. Bo jakże w Indjach mogłoby być inaczej.

Są naszymi przyjaciółmi. Czy ładni? Trudno mi powiedzieć. Bardzo mili, to pewnie. Są współcześni, postępowi i wykształceni.

On skończył studja w Anglji, jak jego ojciec i dziad. Za co dziad jeszcze został wydalony po za obręb kasty.

Ona w domu wychowana na pardah, co oznacza, że zaledwie nauczono ją czytać i pisać. Z chwilą, gdy wyszła zamąż, a miała wtedy lat trzynaście, dorwała się do książek i wiedzy, by dorównać wykształceniu męża.

Oboje uprawiają sporty, mówią ładnie po angielsku, przyjmują w swym domu europejczyków, bywają dużo.

Każde z nich ma swój samochód i razem mają jeden duży dom.

W Bombay mają dużo domów, całą długą ulicę, na Indyjskim Oceanie całą linię okrętową. Ale mówię tylko o jednym domu, gdzie oni mieszkają stale, gdzie jest ich home.

Ten dom jest w Juhu. Stoi nad brzegiem morza w ogrodzie, raczej w lesie palm kokosowych i bananów. Kiedyś, gdy Juhu było wyspą, całe należało do ich dziadka. Dzisiaj pozostał im ogród i dom.

Jedyny dom wśród osiedla namiotów i bungalów z dykty i palmowych liści.

Duży stary dom zamknął się w ogrodzie, odosobnił od hałastry nowych przybyszów. Zbudowano go z drzewa w formę piętrowego parawanu. Jest bardzo w hinduskim stylu. Ciemno wiśniowy, majestatyczny i tajemniczy.

Jeszcze wtedy, gdy nie znaliśmy naszych przyjaciół, wzbudzał moje zainteresowanie. Wkradałam się wzrokiem po za żywopłot z agaw i kwitnących kaktusów, przez żelazne sztachety furtki od morza.

Znałam już podwórze gospodarcze z domkiem dla służby, oborą, i elektryczną pompą u studni. Znałam grubego kucharza bramina i jego wózek zaprzężony w rudego wołu, gdy wyruszał do Santa Cruz na targ po zakupy. Zresztą ten wół i biała krowa stale miały zwyczaj składać wizyty w namiocie i zjadać nam chleb.

Znałam małego czarnego pieska Wasanti. I wszystkie dziwaczne ławki, stoliczki, kamienie, parasole malowane na biało. Wewnętrzne urządzenie ogrodu-lasu jeszcze pewnie z czasów dziadka. No i znałam babcię, nie wiedząc, że jest ich babcią.

Co rano spotykamy na wybrzeżu siwą staruszkę. Drobnym kroczkiem biegnie do morza. Wchodzi po kostki w pierwsze fale i składa ofiarę morzu. Kubeczek mleka i wiązankę kwiatów. Ręce złożone do modlitwy, spłowiałe oczy zapatrzone gdzieś w dal. Wiatr targa ubogiem sari, rozrzuca siwe kosmyki włosów. Babcia pomodliła się i zmyka do domu, nie oglądając się na strony. Do swego skrzydła domu, gdzie później nawet nigdy nie weszłam.



Hinduska dama w swoim ogrodzie.

Bo babcia jest wdową po jego dziadku i symbolem wszystkich przesądów, prastarych obyczajów i zasad. Miała dwadzieścia jeden lat, gdy owdowiała i zamknęła się w pardah, oddając wszystkie klejnoty, strojne sari i miejsce pani domu swojej synowej. A dzisiaj ile babcia ma lat, bogi jedne wiedzą. Trudno zliczyć — jest bardzo stara.

Babcia siedzi w swojem skrzydle domu, jak smok tajemniczy. Ma swego kucharza, swoją służbę. Gdy wnuki chcą ją odwiedzić, proszą o pozwolenie. Babcia pozwala wejść. Zakrywa twarz rozmawiając, bo przecież są po za jej kastą. Nigdy z nimi nie je i nie dotknie jedzenia z ich stołu.

Babcia mówi tylko swojem rodzinnem narzeczem i hindustani. Babcia się bardzo gorszy swobodnym trybem życia wnuczki, jej bluzkami bez rękawów i tem, że wnuki przyjmują w swoim domu europejczyków — bywają i mówią po angielsku.

Babcia nigdy nie wychodzi na spacer. Jedynie rano, aby złożyć ofiarę morzu. Ale raz w rok babcia pakuje kufry i wyrusza w podróż do Natives States, lub na południe do Madury. Znika na miesiąc, albo i dwa.

Co babcia robi w tej podróży, jak jedzie, gdzie mieszka, to są niezbadane tajemnice. W każdym razie wciąż daje znaki życia, przysyłając z różnych miejsc swej wędrówki pozdrowienia i paki słodyczy dla wnuków.

Pewnego dnia cały dom przewrócony do góry nogami. Radosne oczekiwanie. Rozpakowywanie licznych babcinych kufrów... I przewietrzona, odświeżona babcia znów się zamyka na rok w swych apartamentach.

Gdyśmy poznali naszych przyjaciół i weszli do ich domu — miałam prawdziwe używanie.

Opowiem, jak tam wygląda, a potem jak się mieszka i żyje, a może wszystko razem poplączę.

Wejść jest trzy. Jedno do babci. Drugie bardzo paradne, tego nie używa się na codzień, i trzecie boczne do ich prywatnego wnętrza.

Weszliśmy tem trzeciem. Łamana klatka schodowa. Na ścianach jedna przy drugiej fotografje wielkich ludzi całego świata. Rabindra Nath Tagore, Mahatma Ghandi, a obok Mussolini, Trocki, Tołstoj i Lenin. Dziwaczna kolekcja rozpoczęta przez dziadka.

Jesteśmy już na górze. Cały dom na zewnątrz jest drewniany, a wewnątrz murowany. Część zewnętrza przezroczysta, wycięta w serduszka, klapy i klapeczki, jest przewiewna, jak wachlarz, lub parawan. Ta galerja obiega wkrąg cały dom, kryjąc w swem wnętrzu pokoje bez okien, jedynie z dużą ilością drzwi. Tak jest na górze i na dole.

Na górze są ich sypialnie, na dole gościnne pokoje.

Jednak całe życie koncentruje się na przewiewnym ganku pierwszego piętra. Ponieważ jest on bardzo długi, przecięto go szafami na cały szereg pokoi. Living-room, bibljoteka, garderoby jej i jego.

Na dole i na górze poza tem jest cały szereg pokoi i hollów niezamieszkałych, zapełnionych fotografjami, obrazami, meblami, kolekcjami bogów, porcelany w gablotkach, rzeczy przepięknych i europejskiej jarmarcznej tandety. Dobytek manji kolekcjonerskiej ojca i dziada.

Długie godziny spędziliśmy w ich living-roomie. Fortepian, wspaniałe radjo, patefon. Wygodne fotele, wiatr od morza i mili ludzie.

Są tam dwie małpki. Zawsze gdy jemy słodycze, prawdziwe hinduskie, o których nawet się nie marzy w Europie, obie małpki gdzieś z wierzchu inkrustowanych masą perłową i laką szaf zeskakuja wprost na ręce, łapką wydzierając przysmaki.

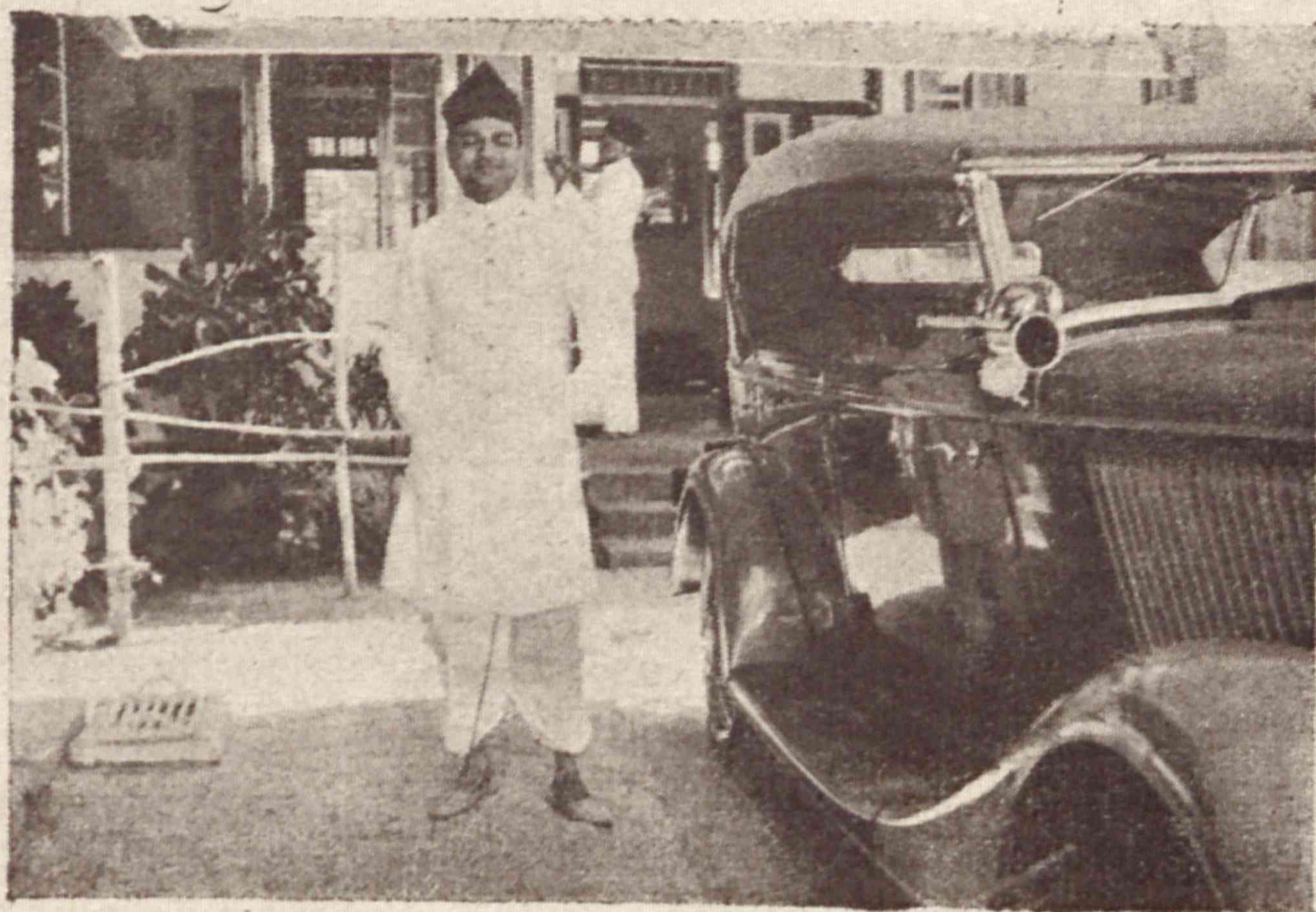
Ale nietylko przyjmowano nas słodyczami i owocami wieczorem, lub popołudniu na modłę zeuropeizowanych Indyj. Byliśmy również na obiedzie w ich sali jadalnej.

Sala jadalna i kuchnia tworzą oddzielny parterowy domek-przybudówkę, otoczoną dżunglą kwiatowo-bananowego ogródka. Jak zielona szarfa ten ogródek opasuje ściany domu.

Sala jadalna. Duży, jasny pokój o trzech oknach. Na ścianach stare akwarele — bogi i sadu. Kamienna posadzka — i nic. Pod oknami stoją dwa niziutkie stołeczki dziecinne, malowane na jasno czerwono. A przy nich jeszcze niższe ławeczki. To są ich stoły.



Living - room.



Nasz przyjaciel.

Hindusi z południa zawsze jadają na ziemi i rękami. Zresztą rękami jadają wszyscy hindusi, z północy i południa. Właściwie nie rękami — jedną ręką. Prawa ręka zwinięta w formę szufelki, zastępuje widelec i łyżkę. Bardzo trudno.

Siedzą oboje, jak figurki z terrakoty, na podwiniętych nogach i jedzą przedziwne potrawy podawane na miedzianej tacy przez tłustego kucharza-bramina. Obok stoliczków stoi jakby dzwon z bronzu. Gdy odkryjesz wieko, jest tam kilkanaście ostrych przypraw do potraw. Nakrycie — zielony liść banana. Jedyne naczynie — srebrny kubek z wodą.

Je się słodkie, kwaśne, ostre, pieprzne i mdłe — wszystko razem. A jednak to jest smaczne. I stanowczo smakuje lepiej jedzone rękami. Po obiedzie myje się ręce i płucze usta w zlewie umieszczonym za oknem. Zamiast papierosa z czarną kawą — żuje się pan.

Może najbardziej dla mnie interesująca jest jej garderoba. Stoją tam szafy potężne, jedna przy drugiej. Otworzysz — mur zamkniętych szuflad. A w szufladach ponumerowane, zwinięte w haftowane ręczne batystowe chustki, leżą jedno na drugiem cudne sari.

Jedno piękniejsze i droższe od drugiego — a jest ich dobre paręset sztuk. Sari babki, matki, jej. Brokaty z Benares, haftowane jedwabie chińskie, hinduskie georgetty, malowane ręcznie. Każde z nich jakby utkane z tęczy i skrzydeł motyli.

W innej znów szafie leżą bluzeczki, opięte staniki i wiszą spódnice marszczone. Barwą, deseniem każde dobrane do sari, nawet chustki do nosa mają odpowiedni szlak.

A potem jest szafa, gdzie stoją sandałki. I gablotka z klejnotami. I tualeta, ciężka od sreber zastawy. Bogata w maści, olejki, pachnidła, czernidła i karminy. Można w tej garderobie hinduskiej damy spędzić długie godziny, przerzucając, zmieniając na niej szaty, naramienniki, bransolety, pierścienie... i napatrzeć się trudno — wciąż mało. Chce się widzieć wszystko: jak się ubiera, maluje, czesze.

W tym domu tradycje wiary, obyczajów kraju i współczesne „dzisiaj" pogodziły się z wdziękiem.

Shantikumari, księżycowy książę i jego małżonka są najmilszymi i najbardziej może mądrze współczesnymi hindusami... Dużo nauczyli mnie tajemnic starych i młodych Indji, ale za tępa jestem, więc nic z tego do mnie nie przylgnęło.

Z WYSTAW PARYSKICH

Salon w Tuilleries

Mieści się już od lat kilku nie w Tuilleries, ale w t. zw. Néoparnasse, blizko bulwaru Montparnasse, na rogu ulicy dobrze znanej artystom, rue Campagne-Première i bulwaru Raspail. Néoparnasse jest właściwie rodzajem wielkiego hangaru, w którym równie dobrze mogłyby być wystawione auta i aeroplany, jak dzieła sztuki. Ale jeżeli Watteau, Greuze, Isabey, a może nawet i rewolucyjny David, skrzywiliby się na taki salon wystawowy, to nowoczesna sztuka bynajmniej nim nie gardzi.

Dwa piętra, oprócz parteru, zajęte zupełnie. Na dole umieszczono co celniejszych, lub bardziej znanych artystów, albo poprostu tych, co są już dawniejsi w Salon des Tuilleries. Paru znakomitości brak. Parę wystaw retrospektywnych znaczą czarne kokardy z krepy, to obrazy artystów zmarłych w ciągu roku. Przy niektórych bukiety kwiatów. Ładny zwyczaj salonów paryskich, w ten sposób koledzy żegnają po raz ostatni kolegów.

Wbrew zwyczajowi, rzeźby dorównywały w tym roku ilością obrazom, o ile ich nawet nie przewyższały. Nie wiem, dlaczego była w tym roku duża obfitość „baigneuses“ czyli kąpiących się nimf, mniej lub więcej uroczych. Ładna w ruchu i pełna lekkiego wdzięku „baigneuse“ Augusta Guénot, starszego już i znanego artysty francuskiego, ma niezwykle miękkie linie. Mocna, o bujnie rozwiniętych kształtach, ale wyrazista i ciekawa, jest rumuńsko-francuska „baigneuse“ Terziew'a.



Biust Marji z Malewskich Władysławowej Mickiewiczowej.

Wśród biustów należało się zatrzymać przed doskonałym biustem ś. p. Marji z Malewskich, Władysławowej Mickiewiczowej dłuta Wandy Jurgielewicz, znanej, choć młodej rzeźbiarki polskiej w Paryżu. Artystka umiała oddać z wielką subtelnością drobne, a jednak wyraziste rysy tej malutkiej, nieco przygarbionej staruszki, którą my, pokolenie wojenne lub powojenne, znaliśmy już tylko, w ostatnich latach jej życia, ale która streszczała w sobie blizko pół wieku dziejów kolonji polskiej i emigracji polskiej w Paryżu. Tym, którzy znali i widywali ś. p. Władysławową Mickiewiczową, stanie ona przed oczyma, jak żywa, gdy spojrzą na rzeźbę Wandy Jurgielewicz.



Pacewicz K. *Sophie et son Puck.*



Ar. Lochakow *Souvenir de 1914-18*

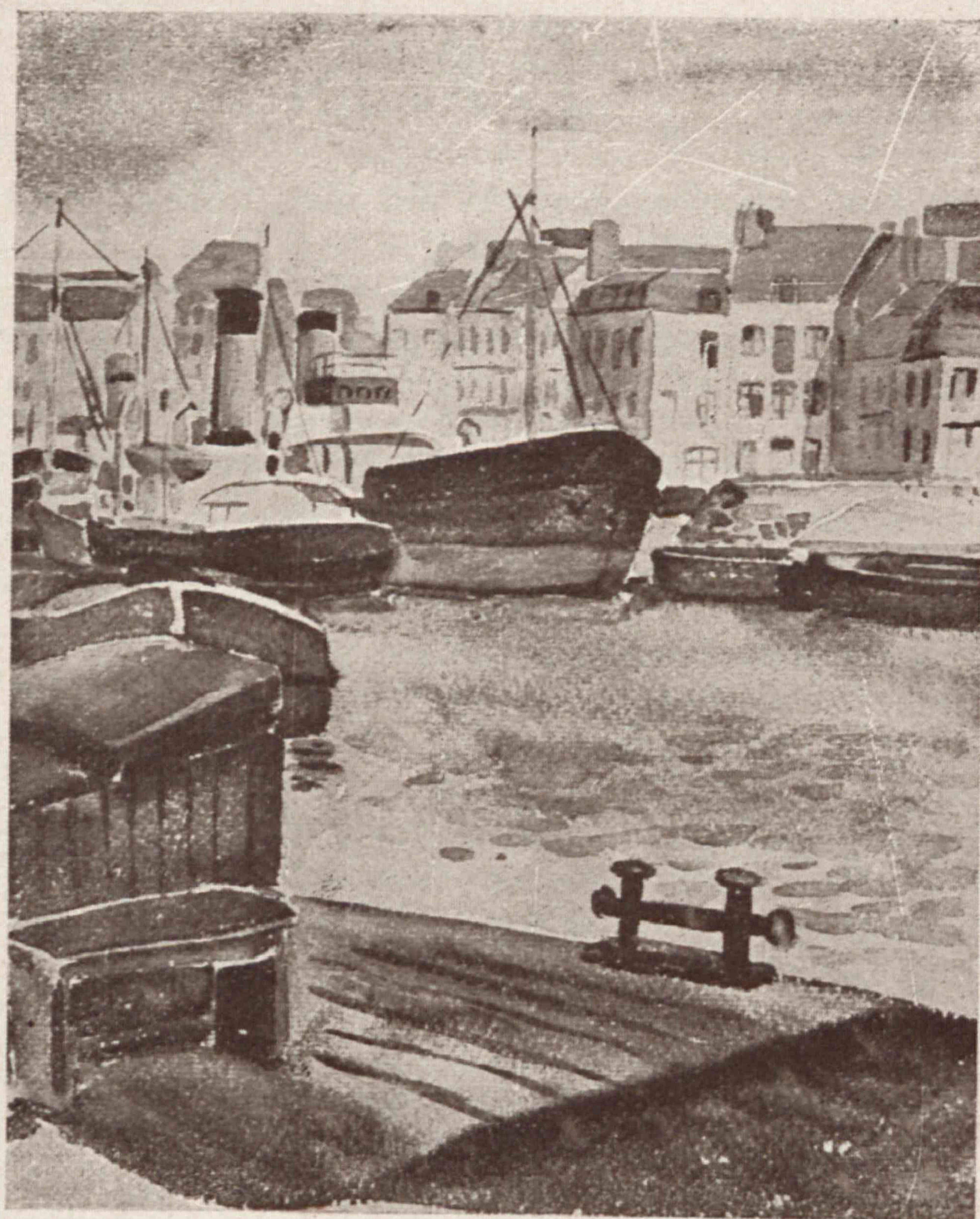
Rzućmy teraz okiem na malarstwo, wśród którego widnieje sporo nazwisk polskich. Oto Spiro z ciekawym portretem starego jegomościa, potraktowanym bardzo realistycznie, ciężka twarz, obwisłe powieki, grube wargi; oto znany Tereszkowicz (rosjanin) malujący Francuzów mocno na sposób rosyjski. W jego „Printemps“ (wiosna) młody oficer nieco marjonetkowaty flirtuje z młodą niewiastą w tym samym stylu, całość ciekawa, kolory ładne. Oto Jahl (Polak)

z ładnem, stylowem „Polowaniem w Bachiwillers" i zieloną, wiosenną „La Ferté-sous-Jouarre". Dalej Pacewicz (Polak) z melancholiczną „Après la Fête (foraine)", czyli po jednem z typowych prowincjonalnych świąt francuskich. Opadły płócienne budy cyrków i zaimprowizowanych widowni, żałośnie się znaczą na tle zieleni świeżej, żywej. Ten kontrast życia natury ze śmiercią efemerycznego ludzkiego wesela nadaje obrazowi wyraz bardzo oryginalny. Są tu jeszcze pejzaże tegoż artysty i bardzo miły jasny obraz „Zosia i jej Puck", dziewczynka o bardzo polskim typie z dużym psem.

Dużo osób przystaje przed sporych rozmiarów obrazem Loszakow'a, zatytułowanym: „Wspomnienia z lat 1914—1918". Ciemnawe, skoncentrowane barwy, coś surowego, bolesnego w wyrazie. Jest w tym obrazie to, co krytycy muzykalni nazywają w sztuce Debussy „émotion contenue", wzruszenie powstrzymywane i dlatego wywierające jeszcze silniejsze wrażenie. Dwóch żołnierzy w kaskach unosi z pola bitwy rannego towarzysza. Twarze ostre, ściągnięte zmęczeniem, ale twarde i nieugięte. Ten sam artysta wystawił doskonałe „bois", mające ilustrować wojenny poemat Henryka de Montherlant „Le Chant Funèbre des Morts de Verdun".

Parę wielkich portretów Mac Avoy'a: oficera francuskiego o marsowej twarzy, zakonnicy i słynnego monsignora V. Ghica, przedstawiciela katolickiego mistycyzmu rumuńskiego; piękny bolesny portret starego mnicha w brunatnym ciężkim habicie przez La Villéon; ciekawa gryzetka z Montmartre'u przez Asta Girey, cała w kwiatach, muślinach, organdynach, z papierosem w zbyt różowych ustach, a przecież żałosna, jak małe skrzywdzone dziecko. Lelia Gaetani przedstawia oryginalnie Wenecyę wieczorem, światła, ruchliwy różnobarwny tłum i zadumaną fasadę kościoła św. Marka.

A oto znowu polscy artyści: Piramowicz, porzucając chwilowo swoje prześliczne kwiaty, maluje tym razem Fez, jasny słoneczny, barwny; Alicya Hohermann, gdańszczanka, daje lekkie, miękkie, wdzięczne postacie i bukiety kwiatów, Jastrzębski ma świeżej zieleni pełne pejzaże.



Helena Dowkontt *Dunkerque.*

Helena Dowkontt maluje pejzaże morskie ze szczególnem upodobaniem. Jej **marines** są nietylko ładne o lekkich kolorach, ale mają w sobie dużo życia. Czuć tu powietrze, przestwór, morze żyje, niebo północnej Francji ma swoją specjalną barwę, nieco bladawą, a przecież tak bardzo niebieską. I stare domy Dunkierki zdają się opowiadać młodej artystce swoje odległe już dzieje, mgłą wieków zasnute...

Dwie **natures mortes** Michała Kalitowicza, albo jak go nazywa krytyka francuska Kali, są wzmiankowane przez wielu krytyków paryskich i zresztą zupełnie słusznie: mają cechę własną, a to już bardzo wiele u młodego artysty. Kalitowicz nie jest nieznanym w Warszawie, gdzie wystawiał parę razy wśród młodych i pracował, jako dekorator w teatrach. Krewny Podkowińskiego, ma tradycje malarskie w rodzinie. Z dwóch jego **natures mortes**, jedna przedstawia stół z istną gamą zielonych barw, które przecina ostro plama pomarańcz w zielonej czarze. Druga, to symfonja szarych i zielonawych rozwianych barw.

Dr. M. Kasterska.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Podajemy spis artykułów, które nie zostały przyjęte do druku:

Pani Ir. Wiel. — „Powitanie".

Pani Z. Pet. — „Sprawy niezrozumiałe".

Pan St. Ost. — „Eksperyment"

Pan P. G. — „Historia jednego małżeństwa.

Pani M. God. — „Wspomnienie o zmarłej królowej".

Pan Z. D. — „Miasteczko".

Pan Wl. Lind — „Miłość u stóp Pietrosza".

Pan Tad. G. — „Pokrewieństwo ducha".

Pan M. War. — „Nowi mistrzowie na tronie bokserskim".

Pan Z. Fr. (stale w Paryżu) — „Paryski salon polskiej gościnności".

Pan M. W. — „Młody Lwów literacki".

Pan L. Ch., Londyn. — „W willi K. G. Chestertona".

Pani dr. M. Kast. — „Hotel de Sagan" i „Polska na wystawach".

Pan Win. — „Chusteczka w szachownicę", „Muzyka w taksówkach" i „Człowiek uczciwy".

Rękopisy powyższe są przechowywane w Redakcji przez przeciąg 2-ch tygodni po upływie tego czasu zostaną zniszczone.

CZY PANI WIE, ŻE...

...pod choinką zdarzają się małe dramaty z kapiącemi świeczkami. Plama ze stearyny nie zdobi — jak żadna zresztą plama. Usuniemy ją łatwo, zeskrobawszy ostrym nożem zgrubsza. Poczem nakryjemy plamę bibułką i przeciągniemy po niej gorącem żelazkiem. Stearyna pod wpływem ciepła topnieje, wsiąka w bibułkę, którą zmieniać będziemy na plamie dopóty, aż pozostanie czysta. Jeżeli materjał przeznaczony do wyczyszczenia jest cienki, np. jedwab — to podłożymy bibułkę po obu stronach tkaniny, aby tłuszcz topniejący wsiąkał łatwiej.

■

...o odmrożonych kończynach mówiłam już poprzednim razem. Ale temat jest tak aktualny, mimo ciepłej zimy, że na prośbę jednej z czytelniczek podaję jeszcze jeden sposób. Ugotować na obiad selery — (i zjeść ze smakiem, bo to nietylko doskonała ale i bardzo pożyteczna jarzyna, zwłaszcza na zwalczanie reumatyzmu).

Pozostałą po selerach wodę, lekko osoloną, użyć do moczenia odmrożonych rąk. Można nią wyleczyć nawet bardzo zastarzałe odmrożenia. Jednak trzeba koniecznie, aby woda selerowa była bardzo gorąca — tak gorąca, jak tylko pacjent może wytrzymać. Podczas moczenia dolewać nieustannie gorącej. Moczyć codziennie conajmniej po 20 minut.

■

...zima nie sprzyja piękności rąk. — A jaskrawo oświetlone „lokale" i dancingi zdradzają wszelkie defekty. Aby skórę rąk, chropawą od zimna, udelikatnić, należy na dzień nacierać ją lekko watą, umoczoną w następującym płynie: Mleczka migdałowego 60 gram. Tynktury benzoesowej 4 gram. Tynktury Hamamelis 3 gram. Wody różanej 50 gram. Wody z kwiatu pomarańczowego 50 gram. Esencji cytrynowej 2 gramy. Dokładnie zmieszać, potrząsnąć przed użyciem.

■

...w Egipcie robi się konfiturę ze skórek pomarańczowych. — Oto przepis oryginalny: pomarańcza musi mieć skórę bardzo grubą. Zetrzeć na cienkiej tarce sam wierzch, a resztę skórki pokrajać na ćwiartki. Zagotować syrop, licząc sto gramów cukru i cztery łyżki wody na każdą pomarańczę. Syrop musi najpierw pogotować się na wolnym ogniu dziesięć minut, potem wrzucamy do niego starty drobno wierzch skórki oraz pokrajane białe ćwiartki. Gotować, aż będą przezroczyste. Dokładnie szumować.

A sam owoc? No — owoc zjeść sobie oddzielnie, oczywiście. Naprzykład na surowo w sałatce ze słodkiemi migdałami.



...nie radzę pani fraka... Tak, to nie omyłka: nie radzę pani fraka! Tego fraka, który dotychczas był wyłącznym strojem wieczorowym „płci brzydkiej".

A nie radzę dla różnych względów.

Po pierwsze: ta moda przeleci — „jak z bicza trzasł". I nie wiadomo potem będzie, co z takim dziwolągiem zrobić.

A po drugie — jest to pewna, powiedzmy łagodnie, oryginalność, na którą pozwolić sobie może osoba, posiadająca conajmniej dziesięć toalet wieczorowych w swej garderobie. Bo nie sposób ubierać się w to na każdą wieczorową okazję, jaka nam się zdarzy!

Kto ma suknię wieczorową jedną albo dwie — niech lepiej w swym stroju pozostanie — kobietą. To i praktyczniej, i bezwątpienia — ładniej.

■

...plamy z szampana wywabić można natychmiast, na świeżo, pocierając je kawałkiem lodu i zanurzając w wodzie.

...karnawał wymaga dekoltowanej sukni. — A dekoltowana suknia — pięknych pleców, szyi i ramion. Doskonałe jest w tym celu „mleczko różane" którego francuski przepis podaję poniżej:

Słodkich migdałów miałko mielonych — 30 gram.
Wody różanej — 180 gram.
Spirytusu czystego 90% — 40 gr.
Mydła marsylskiego — 5 gram.
Olejku z migdałów słodkich — 2 gram.
Esencji bergamotowej — 2 gram.
Esencji lawendowej — 2 gram.
Esencji różanej — 2 gram.

Włożyć wszystko do słoja, niech postoi w ciepłym pokoju tydzień. Zlać do butelki, filtrując przez bibułę. Zwilżać tym płynem, pół na pół zmieszanym z wodą przegotowaną, szyję i ramiona, na noc.

Dama Pikowa.

KISŁOWODSK

Kisłowodsk, jedno z napopularniejszych uzdrowisk Kaukazu, leży w południowej grupie kaukaskich źródeł mineralnych. Położony jest w głębokiej dolinie otwartej w kierunku północno-zachodnim, a zasłoniętej z pozostałych trzech stron od wiatrów przez góry.

Ludność miejscowa od dawna oceniała właściwości źródeł kisłowodskich; dawni mieszkańcy tych okolic nadali źródłom tym nazwę „Nar-Sana", to znaczy woda-bohater, co świadczy o wierze tubylców w uzdrawiającą siłę tego źródła.

Poraz pierwszy wspomina o źródłach Kisłowodska, lekarz nadworny Szober w 1717 r. W 1804 r. podróżnik Jakób Reiners zaznacza, że dwie szklanki wody „narzan" powoduje odurzenie, przechodzące w głęboki sen.

Już w 1803 r. przystąpiono do uregulowania źródła, chroniąc je według projektu Pallasa od dopływu wody zaskórnej.

Największy rozkwit Kisłowodska pod względem technicznym i leczniczym następuje jednak dopiero w ciągu ostatnich dwuch dziesiątków lat.

Obecnie wydajność „narzanu" wynosi na dobę do 2 miljonów litrów, używanych jako napój leczniczy oraz na kąpiele.

Kisłowodsk jest uzdrowiskiem nietylko balneologicznym, lecz również klimatycznym i posiada ponadto wyjątkowo piękne krajobrazy. Wspaniałe szczyty łańcuchów górskich, otaczających Kisłowodsk, odcinają się na lazurowym tle horyzontu.

Wielka wspaniała aleja obsadzona dzikim winem i lipami prowadzi do najbardziej ożywionej części Kisłowodska — bulwaru, z lewej strony którego znajduje się Uptońska galerja „Narzanu", z prawej zaś strony nowe łazienki uzdrowiska.

Poza galerją ciągnie się piękny, stary, cienisty park z licznymi alejami, prowadzącymi do tak zw. gaju róż, Sosnowej Góry i skał zwanych „Czerwone Skałki", z których podczas jasnej pogody widoczny jest śnieżny szczyt Elbrusa.

Wyjątkowa czystość powietrza, dzięki której promieniowanie słońca jest bardzo silne nawet zimą, rozległy widok na czarne sylwetki gór ściągają tu tłumy publiczności i turystów. Pośród skał stoi olbrzymia płaskorzeźba — pomnik Lenina.

Nieco dalej położone są „Szare Skałki", za granicami parku zaś na t. zw. „Grzebieniu Kredowym" — „Niebieskie Skałki". Godne uwagi są góry o fantastycznych kształtach, jak „Pierścień Guru" oraz „Siodło" i „Dzik".

Piękno krajobrazu górskiego potęguje bogactwo roślinności. W samym mieście roślinność otacza białe pałace — sanatorja i domy wypoczynkowe.

Na zwiedzenie zasługuje w Kisłowodsku ponadto skała i źródło im. Lermontowa, zamek Intrygi i Miłości oraz liczne kryształowe wodospady.

Poradnik Kosmetyczny
PANI ZOJI
OGÓLNE WIADOMOŚCI

O ładny estetyczny wygląd dbać muszą wszyscy, zawsze i w każdych okolicznościach.

Dobry wygląd zewnętrzny, to wielka moc, potrzebna każdemu.

Nauczycielka w klasie, o ładnym estetycznym wyglądzie większy zdobywa posłuch wśród uczni niż zaniedbane śmieszne czupiradełko.

Ekspedjentka w sklepie zawsze pożądana o przyjemnym wyglądzie.

Mateczka zajęta kłopotami domowemi i wychowaniem nie powinna zapominać o starannem uczesaniu i pielęgnowaniu się: milsze wrażenie robią również i dzieciaki, z kształtnie ostrzyżonemi główkami, dobrze ułożone i ubrane, ba, nawet babcię chętniej widzimy, gdy jej siwe włosy są dobrze przygładzone, a twarz staruszki nie obrasta, jak się to mówi, mchem.

Na wstępie należy zatem dokładnie zdawać sobie sprawę, na czem polega ładny i estetyczny wygląd, oraz od czego ten dobry wygląd zależy.

To, co nazywamy ładnym i estetycznym wyglądem polega na ogólnej harmonji: wymiarów, kształtów, linji i barw.

Nie można powiedzieć, że piękną kobietą jest kobieta duża, okazała lub drobna, filigranowa, lub, że tylko należy mieć wzrost Venus z Milo, piersi Egipcjanki i włosy Rzymianki.

Najważniejszem jest, aby w postaci panowała harmonja pomiędzy wzrostem i kształtami. (Waga w klg. = wzrostowi w centymetrach ponad sto — przykład: 59 klg. waga — 159 cm. wzrost).

Harmonja musi być uwzględniona we wszystkiem: w ruchach, nie tylko w tańcu, lecz przy chodzeniu, siadaniu, jedzeniu, a nawet pracy.

Harmonizować z całą postacią musi uczesanie — stały ubiór naszej głowy.

Włosy, nasze przyrodzone upiększenie musi być wykorzystane dla dopełnienia linji głowy.

Świeża, wypielęgnowana twarz winna być utrzymana w charakterze, dyskretny maquillage (na żądanie mody obecnej) dostosowany do koloru skóry i włosów.

Ubiór, który także uzupełnia nasz wygląd, bodaj najskromniejszy, może dużo dopomóc dla tworzenia harmonijnej postaci, przez dobre dostosowanie linji, kształtu i kolorów.

Dobry estetyczny wygląd bezsprzecznie w wielkiej mierze zależy od nas samych.

Należy pragnąć dobrze wyglądać!

Za podstawę dobrego wyglądu bierzemy zdrowie, oraz sprawne działanie całego organizmu, wreszcie umiejętne władanie sobą: opanowanie ruchów, mięśni, nerwów, a, tak, nerwów koniecznie!

Doprowadzenie do najdoskonalszego stanu naszej powłoki cielesnej — skóry, przez doskonałą pielęgnację kosmetyczną, którą roztaczamy zarówno nad włosami, zębami i paznokciami. Osiągając zdrową skórę i ładną cerę, jak również wypielęgnowane włosy, paznokcie i zęby, oraz mając harmonję kształtów, zdobytych odpowiedniemi ćwiczeniami, po uzupełnieniu korzystnym uczesaniem i dobrze dostosowanym ubiorem — osiągamy swój ideał pięknego wyglądu.

D.c.n.

BLANKA KUTNERÓWNA

MATKA

(Dokończenie).

Helenka była jedynaczką. Mimo to matka nie okazywała jej żadnej czułości, chyba że zachorowała. Wtedy, leżącej w łóżku, dogadzała matka, jak tylko mogła: a to ciasteczkiem, a to szklanką kakao...

— Pij, córeczko, — mówiła matka, gdy po ciężkiej szkarlatynie dwunastoletnia Helenka leżała w łóżku tak wycieńczona, że aż przejrzysta na rękach i twarzy, — pij! Teraz pójdę do sklepu, bo czego sama nie zrobię, tego nikt nie dopatrzy. Ale wpadnę tu za godzinkę i przyniosę ci biszkoptów.

Tak mówiła wtedy matka. A jeszcze latem, wczesnem ranem, zwykła podlewać cztery stare pelargonje na oknach, choć już zdawna nie chciały kwitnąć i nigdy o tych kwiatkach nie zapominała...

Ale prawdą jest, że ojciec dostał tego ataku sercowego przez matkę.

Awanturowała się tego dnia więcej, niż zwykle. Poprostu z każdym.

Rano z Natalką, która od niepamiętnych już czasów miała być z domu wyrzucona, ale w końcu, za sprawą samej matki, oczywiście, zostawała; potem z Boruchem, dostawcą węgla; a potem z ojcem.

— Ty nieużytku, — krzyczała matka, będziesz mi tu w puchach nad papierzyskami gnił, a ja, chora kobieta, żebym dla ciebie zganiać serce miała?! Niedoczekanie twoje — a masz, a masz, a masz!

Pierwszy to raz podniosła matka na ojca rękę. Helena aż szczękała o to zębami, wciśnięta w kąt pokoju, z uginającemi się kolanami. Ojciec zerwał się z nad papierów i wzniósł nad czołem obie ręce dla obrony. I wtedy, gdy tak stał pobladły, ze zgrozą na twarzy, Helenka po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że głowa ojca jest już cała w bieli... A teraz matka śmie na tego starca bezbronnego, na rodzonego Heleny ojca — och!!!

Wybiegła wtedy z domu na cały dzień. A gdy wróciła, zobaczyła przed sklepem ten sam tłum gapiów, który ją widział wybiegającą rano z domu.

— Jeszcze się nie uspokoiło? — pomyślała w ostatniej rozpaczy i złości. Ale w tejże chwili otrzymała na to swoje niewypowiedziane pytanie odpowiedź.— Helenka, — krzyczał ktoś do niej, — Helena, leć prędko, ojciec ci umarł!

Ojciec leżał na łóżku z rozerwaną na piersiach koszulą, dziwnie wielki, z głową białą i wyniosłą, jak święty. Zaś u nóg klęczała mu matka i bijąc czołem o kant łóżka, łkała:

— Nie żyjesz, nie żyjesz korono moja, korono moja!....

Od wtedy Helena poszła z domu, zaprzysięgając, że matce swej ręki nie poda.

Jakie to były lata, trudno opowiedzieć. Miasteczko było małe, a przecież pełne ludzi, z których każdy znał jej historję.

Spoczątku wytykano ją palcami: — O, to ta córka piekarzowej z Szerokiej ulicy — mówiono. A potem, czy że ubłagało złość ludzką samotne sieroctwo Helenki, czy że to ona sama swą siłą i pracą zmusiła w końcu ludzi do milczenia, czy może — że działały oba te czynniki, a i jeszcze wszystko gojący czas — dość, że dano Helenie spokój i była teraz w mieście poprostu już tylko Heleną Szymczak, nie zaś córką piekarzowej z ulicy Szerokiej.

O zamążpójściu nie marzyła nawet Helena. Bo i któżby ją zechciał w tem mieście, gdzie każdy kamień, choć milczał, ale patrzał przecież na dzieje jej domu i niechbyś go tylko zniechcenia nogą trącił...

Radził ten i ów Helenie, żeby jechała do Warszawy, do stolicy. W dużem mieście, — powiadano, — łatwiej młodej dziewczynie. Tu zaś doczekasz się tylko siwych włosów, niczego więcej.

No i patrzcie, ani jednego włoska siwego nie miała jeszcze na głowie, kiedy w tymże Płocku, w starej katedrze ślub brała — i to z kim, z samym naczelnikiem poczty! Takie czasem życie jest łaskawe...

Przenieśli się odrazu do Płońska, pod Płock. Niedaleko to wprawdzie było, ale zawsze nie to samo miasto i od matki dalej. Urządzili się ładnie, w piętrowym domku. Zdobyli sobie mir u ludzi i sympatję. Helenka gospodarowała, dzieci swoje niańczyła i wkońcu tak ją ten spokój oprządł i ukołysał, że myślała czasem: — E... chyba tu się, w tych pokojach rodziłam, chyba nigdy nic poza temi ścianami nie działo się ze mną...

Tak sobie myślała coraz częściej, a kiedy już zupełnie w to uwierzyła — spadł nagle piorun w jej dom, ale jaki!

Było tak:

Stała akurat w kuchni, doglądając służącej, czy dobrze ciasto urabia. Mąż był przy pracy, starsza córka w szkole, a tylko najmłodsza, już siedmioletnia, bawiła się w otwartych drzwiach jadalni.

Nagle rozległ się dzwonek. O tej porze? Spojrzały po sobie ze służącą, a że ciasta nie można było zostawić, poszła Helenka sama otworzyć drzwi. No i otwarła je szeroko, a we drzwiach stała, jakoś biednie i bez skunksów ubrana — sama matka z Płocka.

— Matka?!

— A tak, córuchno, matka, stara matka. Przyjechałam do ciebie umierać. —

— Co też, co też matka...

Dobrze jeszcze, że wśród tego nieszczęścia wielkiego jedno Helenkę podtrzymało: mężowska dobroć.

Helena wprost nie śmiała mu powiedzieć całej prawdy: że matka chce u nich zostać na stałe. Ukrywała to swoje zmartwienie, jak tylko mogła, aż jej wreszcie sam, poczciwy, odwalił kamień z serca.

— Wygląda na to, — odezwał się raz, coś w dwa miesiące od przyjazdu staruszki, że matka chce tu z nami pozostać już do końca, he?...

Helena nie mogła wprost zdobyć się na odpowiedź. Wiedziała przecież, że gdyby nie to, nigdyby z Płocka nie wyjeżdżali, a teraz i tu ją dogoniło.. Ale mąż sam zdecydował.

— Nie martw się, Heluś, jakoś to będzie... Jakoś trzeba to będzie urządzić. Starowinie dziwić się nie można, że przed śmiercią do córki jedynej uciekła. Zawszeć to matka.

— Och, mężu.... — zdołała tylko wyszeptać Helena i przypadła mu we łzach wdzięczności do piersi.

— No już, no cicho, — uspokajał ją Piotr, — zobaczysz, teraz nawet będzie milej.

I tak rozpoczęły się owe trzy lata, trzy najgorsze lata. Nie można było z niemi porównać nawet czasów po śmierci ojca. Bo wtedy nic się nie miało, nic więc nie traciło. Ale teraz... gdy trzeba było z zaciśniętemi zębami wycierpieć cały rozpad domu....

Matka jakgdyby czuła, że to jej ostatnie rządy.

W lepsze dni, gdy mogła wstawać, wlokła się do kuchni, kłócić się ze służącą; w gorsze, gdy sił nie starczyło na włóczenie się po domu, przywoływała do siebie Helenę i skrzekliwym, zdziecinniałym głosem domagała się: to więcej lekarstw, to jedzenia, to towarzystwa...

— Ratuj matkę, córko moja, nie siedź bezczynnie, tylko ratuj matkę, kiedy umiera!

Najgorzej było, jeśli przypadkiem które z dzieci roześmiało się w drugim pokoju.

— Śmieją się, śmieją się, — krzyczała piskliwie, — cieszą się, że umieram, wszyscy się cieszą...

Niczego nie chciała darować. Jej kruche, starością poranione ciało walczyło o swe istnienie z jakąś wprost zezwierzęconą, elementarną zaciekłością. Trzy razy kładła się na łóżko konająca i trzy razy podnosiła się z niego, gdy już doktorzy odchodzili, machnąwszy ręką. Jej twarz zciągnęła się, jak wyciśnięta gąbka, a tylko czoło wystąpiło mocniejszym, twardym zarysem, z pod łysiejącej czaszki świecąc głucho i uparcie.

Bała się w domu tylko zięcia. Gdy wiedziała, że jest, cichła pokornie, albo starała mu się przypodobać.

— Synku mój drogi, Piotrusieńku, — wołała, — a niechże cię Pan Jezus ma w swojej opiece, niechże cię Matka Boska wynagrodzi za twoją dobroć, za twoje serce poczciwe...

Najgorzej było ostatniemi czasy. Dom cały pełen był jej jęków i krzyków. Helena musiała przyjąć pielęgniarkę, bo sama nie mogła dać rady. Starsza córka nie wracała po szkole do domu, lecz obiad jadła na mieście, razem z ojcem. Potem szła do świetlicy, albo do koleżanek odrabiać lekcje, a i Piotr nie wracał do domu przed kolacją. Nie czynił tego ze złości czy z gniewu, nie. Ale coraz trudniej było patrzeć na wychudłą Helenę i wdychać atmosferę pokojów tak niegdyś ślicznych, a teraz zatrutych starczością.

— Wiem ja, co ci z oczu patrzy, córko. Chciałabyś się już pozbyć starej matki. Ale to grzech śmiertelny, grzech! gderała matka nieustannie, a któregoś rana obudziła się z płaczem wielkim. Gdy przestraszona Helena wpadła do pokoju, — matce odstąpili dziecinny pokój, a dziewczęta spały w stołowym, ujrzała ją siedzącą na łóżku, z palcami kurczowo wczepionymi w poduszki.

— Umiera-a-a-am... umiera-a-a-am... jęczała przeciągle, a z pod przekrzywionego dekoltu koszuli widać było jej zwiędłe ciało, jak drżało w lęku i modlitwie o każdy oddech.

— Spokojnie, spokojnie, matko... — powiedziała Helena, przysiadając na brzegu łóżka, ale jednocześnie uciekłszy oczyma precz z pokoju...

Nie mogła znaleźć w sobie dość ciepła, aby bez wstrętu spojrzeć na matkę.

— Jest w swojej walce, jak zwierzę— myślała o matce. — Niema w niej nic z chrześcijańskiego pogodzenia się z wolą Bożą. Siedzi tu oto na łóżku, jak poganka spragniona krwi i ciała, i ziemi. Ale przecież to ciało już się rozsypuje. Czyż więc nie powinna teraz wznieść się duchem... bo przecież dusza... bo myśl o Bogu...

Od potężnej odrazy, nie dającej się żadnym wysiłkiem opanować, poplątały się w Helenie wszystkie racje, każda myśl.

Wiedziała tylko tyle, że ta stara kobieta, za nic nie chcąca umierać, walcząc ze śmiercią, walczy równocześnie ze szczęściem i spokojem jej domu. — Całe życie mi psuła, całe życie mi utrudniała, inna na mojem miejscu poszłaby na dno... — roztliwiała się nad sobą Helena — a teraz przyszła aż tu za mną, ażeby mi nawet śmiercią swoją szkodzić!

Przesiedziały tak razem całe rano na łóżku, matka i córka, kryjąc pod bliźniaczo podobnemi czołami — dwa sztylety nienawiści, ostrzem w ostrze skierowane.

— Musisz mię zawieźć do Płocka, córko, — jęczała matka. Zawieź mię do Płocka. Tam się urodziłam, tam moja matka, tam... a... musisz... do Płocka musisz...

To był ostatni koncept matki. A choć już zupełnie opadła z sił, choć chwilami nie starczyło jej głosu, to jednak i tym razem, jak zawsze, postawiła na swojem. Musieli ją przewieźć do Płocka.

Pieniędzy poszło na to huk. Piotr milczał, boć widział, że woli upartej staruchy nie da się skruszyć. Ale już w cieniu zesuniętych brwi czaił mu się ostry gniew. Pierwszy od czasu ich ślubu...

Och, teraz już nie mogła Helena przed sobą ukryć, że pragnie śmierci matki, że na nią czeka!

Pojechała do Płocka sama. Mąż nie mógł rzucić pracy w roboczy dzień, czy może nie chciał się zwolnić...

Była już taka chwila, że Helena, klęcząc w kościele, wprost modliła się o śmierć matki.

— Boże, ulżyj jej cierpieniom, — kłamała, — Boże, weź ją już prędzej do siebie, — prosiła, a do pokoju matki wracała potem na cichych stopach, nie chcąc płoszyć zła...

I oto pewnego dnia matka naprawdę umarła.

Noc ostatnią miała bardzo złą. Męczyły ją duszności, serce, czkawka...

Helena nie kładła się zupełnie i noc spędziła, wędrując od stoliczka z lekarstwami do łóżka — tam i spowrotem — cała uwikłana w dziesiątki koniecznych manipulacyj, spełnianych bezdusznie i ze wstrętem.

Dopiero nad ranem matka uciszyła się i jakby zasnęła.

Helena, do ostatka już znużona, przysunęła sobie fotel do łóżka, przysiadła na nim i postanowiła tak czuwać do rana. Ale otoczyły ją wnet jakieś szumiące, lepkie kręgi, opasujące ją spiralnie, ciągnące w dół, w lejowaty, zwężający się dół... usnęła.

Ocknął ją szczególny dreszcz: jakby ktoś przytknął jej kawał lodu do skroni i stóp jednocześnie.

Otworzyła oczy i spostrzegła, że we śnie opadła ciałem na łóżko chorej. Dźwignęła się — i tejże chwili ujrzała matkę, jak leżała na poduszkach jakoś nieruchomo, z wygładzoną twarzą, z rękami na łonie. Wstawało słońce i kładło pierwsze mieniące się refleksy na włosy umarłej, spływające bogatą falą po poduszce, aż za krawędź łóżka.

— Matko? — szepnęła niepewnie Helena, ale gdy odpowiedziała jej ustokrotniona śmiercią cisza pokoju, wstrząsnął wnętrznościami córki ból straszny i nie do zniesienia. To było, jakby tej chwili po raz drugi rozrywała się pępowina, spajająca ją z macierzystem ciałem. Nowemi, sierocemi, w strachu rozwartemi oczyma rzuciła się Helena w głąb pokoju, żeby ktoś, żeby Piotr, żeby ludzie... Ale nie było właśnie nikogo.

W jakimś tragicznym popłochu, w dziecięcem zastrachaniu przyklękła wtedy Helena u wezgłowia. Matka miała na ustach swój najpiękniejszy, niedzielny uśmiech i pełne już teraz słońce grało w jej wołsach, wydobywając z nich największe piękno...

Teraz dopiero wyzwolił się w Helenie ból i płacz. Z głośnym, dziecięcym szlochem przypadła córka do umarłych rąk, tych które dawały kakao w chorobie i tych, które porwały się na ojca, i wszystkich innych...

Krętemi, podziemnemi zaułkami żył, ze wszystkich najdalszych nawet zakamarków ciała, jakby za zmową potężną i zwycięską, buchnęła w serce, wraz z krwią, wielka, ślepa, niczego już złego niepomna miłość.

— Matko, matko jedyna, odpuść mi — zakrzyknęła Helena i rozwarłszy ramiona padła krzyżem na umarłe ciało.

A już się ludzie zebrali we drzwiach, klękali na progu i chylili głowy: matka tu czyjaś umarła...

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

ŚWIAT FILMU

„Jak wam się podoba" Atlantic

Kinematografja światowa w poszukiwaniu nowych tematów i nowych scenarjuszów trzyma się pewnego utartego szablonu. Wystarczyło, że w ubiegłym roku Max Reinhardt pokusił się o sfilmowanie Szekspira, aby zaraz znaleźli się naśladowcy. Ale niestety, nie zawsze chęć konkurencji pokrywa się z możliwościami. I o ile Reinhardtowski „Sen nocy letniej" był wydarzeniem artystycznem wysokiej klasy, o tyle film Foxa „Jak wam się podoba" wywołuje poważne zastrzeżenia.

Sam tytuł filmu prowokuje do dania wyraźnej odpowiedzi: *nie*. Nie podoba się nam obraz, którego nie sposób nazwać filmem. Reżyser Paweł Czinner w ryzykowny sposób lawiruje na wąskiej krawędzi między kinem a teatrem bynajmniej nie rewelacyjnym. Poszczególne sceny, odarte z podstawowego pierwiastku kinowości ruchu, nie postawione na zadawalającym poziomie ekspresji, deklamacji i przeżycia, domagające się wielkim głosem stuszowania i wysubtelnienia, rażą prymitywnym patosem i przesadną sztucznością. Sielsko nastrojowe dekoracje, nieudolnie wzorowane na arcydziele Reinhardta, nużą monotonją, drażnią jednostronnością. Stroje i kostjumy ryzykowne, nie utrzymane w żadnym stylu stwarzają często nastroje operetkowe. Poszczególne sceny, stanowiące zamknięte fragmenty, nie wiążą się ze sobą i sprawiają wrażenie przypadkowości.

W tych warunkach cały punkt ciężkości przerzucono na barki aktorów. Kazano im wyrazistą mimiką przykuć uwagę widza. Ekperyment się nie udał. Nawet tak znakomita aktorka jak Elżbieta Bergner wykazuje niezrozumiałe załamania się, brak szczerości i skłonność do koturnowego patosu. Inni — jej partnerzy — nie potrafili dostosować się nawet do takiego poziomu czołowej interpretatorki. Ich deklamacja estradowa, ruchy przesadnie teatralne, pozy i gesty wyranżerowanych gwiazd operowych nie dodają filmowi blasku.



Ann Sothern wyszła zamąż za kierownika orkiestry RKO Radio Rogera Pryora.

Mimo najlepszych chęci zadanie przekroczyło możliwości wykonawców — film zawiódł. Nie podoba się. *J.*

Kręcimy pierwszy film w dwóch wersjach

W nowej wielkiej hali „Falangi" przy ulicy Szopena rozpoczęto zdjęcia, do filmu „Dyplomatyczna żona". Nowy film jest poniekąd zwrotnym momentem w rozwoju rodzimej kinematografii, gdyż jest nakręcany jednocześnie w dwóch wersjach. Ma to ogromne znaczenie dla przyszłego eksportu naszej produkcji fimowej, która chcąc się nadal rozwijać, musi koniecznie znaleźć dla siebie odpowiednie rynki zbytu.

„Dyplomatyczną żonę" realizuje Polski Tobis. W roli głównej ukaże się nowa gwiazda, śpiewaczka Jadwiga Kenda. Obsadę polskiej wersji stanowią najlepsze siły, a realizuje znany i doświadczony reżyser Mieczysław Krawicz.

ŚWIAT FILMU

Jak filmowano film „Matura"

Jak wiadomo, słynna sztuka Wł. Fodora p. t. „Matura" doczekała się realizacji filmowej. W przeróbce ekranowej powierzono rolę uczenicy, którą grała na scenie teatru warszawskiego Jadwiga Andrzejewska, słynnej aktorce francuskiej, znanej bywalcom kinowym z filmu „Oczy Czarne", Simone Simon. Rolę profesora historii (popisowa kreakcja Adwentowicza) objął znany aktor, ulubieniec kobiet, świetny Marshall.

Simone Simon, specjalnie sprowadzona z Francji, mała, niepozorna dziewczyna, o dziecinnych ustach i spojrzeniu dojrzałej kobiety, która zna życie— potrafiła świetnie odegrać rolę Marie Claudel, uczennicy 8-ej klasy.

Krytycy i publicyści filmowi Stanów Zjednoczonych stawiają dziś Simone Simon w rzędzie najwybitniejszych aktorek Hollywoodu, rokując jej większą karierę, niż ma obecnie Greta Garbo, czy Marlena Dietrich.

Premiera filmu „Matura" odbyła się w kinoteatrze „Roxy" w Nowym Jorku. Sukces filmu przeszedł wszelkie oczekiwania.

Film „Matura" i jego bohaterka Simone Simon w triumfalnym pochodzie zdobyli świat. Mamy wrażenie, że i w Polsce Simone Simon będzie cieszyć się również rekordowym powodzeniem. Gwarantem tego powodzenia jest wielki talent tej nowej gwiazdy i wartość artystyczna filmu, w którym występuje.



Znana tancerka meksykańska Margo, podpisała kontrakt z wytwórnią R K O Radio.



Słynna artystka Elżbieta Bergner, gra główną rolę w filmie „Jak wam się podoba", według Szekspira, wyświetlanym w kinie Atlantic.

Polska Spółka Filmowa realizuje filmy

Nowa, z rozmachem europejskim, założona wytwórnia, na czele której stoi dyrektor Chamiec, nakręca obecnie dwa obrazy. Wielki i kosztowny film „Płomienne serca" realizacji R. Gantkowskiego oraz komedię muzyczną o tytule nieustalonym, którą dla Polskiej Spółki Filmowej, nakręca „Uranja-Film" (Bodo).

Poza produkcją własną nowa placówka zakupiła znaczną ilość filmów zagranicznych. A więc pięć obrazów produkcji wiedeńskiej. Są to: cieszący się wielkim powodzeniem „Toni z Wiednia", „Po Burzy", „Tylko Ty", operetka filmowa „Romans w Budapeszcie" oraz piąty o nazwie nieustalonej. Z produkcji angielskiej należy wymienić „Rycerza bez zbroi" z Marleną Dietrich, egzotyczny film „Kala - Nag", „ Dama z Portretu" reżysera Kordy, „Wyspa w Płomieniach" produkcji Pommera oraz film o ciekawym tytule „Statek zawinął do portu".

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa

P